

2015 2552/1977/17

**W NUMERZE:**

**NIEZNANE WIERSZE  
TADEUSZA BOROWSKIEGO**

str. 6

**Pan docent  
uderzył celnika  
w twarz**

Joanna Bytomska

str. 2

**Cztery klasy  
bez matury**

Marian Aleksandrowicz  
Istvan Grabowski

str. 10

**ROK ZAŁOŻENIA 1933**

# Kammena

LUBLIN 21 VIII 1977 Nr 17 (633)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

## APOSTOŁ AUTOSTOPU

Mirosław Derecki

— Autostopowiczów kwatery tutaj?  
W drzwiach schroniska stał człowiek z białą brodą, sięgającą do piersi, i długimi wąsami. Na nosie miał oprawne w metal okulary. Podpierał się laską. Prawa dłoń była przyciśnięta do piersi i ukryta w skórzanej rękawiczce.  
— Brodacz podszedł bliżej i powtórzył:  
— Autostopcy tutaj mieszczą?  
— Tutaj. A pan co, wnuczka może na autostopie szuka? — zakpił ktoś.  
— Nie. Ja z trasy przyjechałem. Na zlot jechałem. Ale dzisiaj niedziela, mały ruch na szosie. Stałem pół dnia, nie jechało. Ot, i noc nadeszła i spóźniłem się. Dopiero godzinę temu furgonetka mnie zabrała.  
Opierał laskę o ścianę, sięgnął lewą ręką do klamerek spinających rzemienie plecaka.



Dr Aleksander Melech z Bydgoszczy

Fot KAW

Rzuciliśmy się wszyscy pomagać. No jasne, przecież to najstarszy polski autostopowicz, doktor Melech z Bydgoszczy! Kto by o nim nie słyszał! Był zywą legendą polskiego autostopu. Dobięgał osiemdziesiątki, a przemierzał Polskę wzdłuż i wszerz, udzielając rozsianym na trasach autostopowiczom pomocy lekarskiej. Wyruszył na szlak z polskimi autostopowiczami w 1958 r., ale to nie był jego pierwszy tego rodzaju rajd. Już w dwudziestych latach zwiedził autostopem Kanadę; przejechał wtedy prawie pięć tysięcy kilometrów.  
Udział doktora Melecha w autostopie, tej najnowszej i największej na początku lat sześćdziesiątych imprezie, ratował honor ambitnego przedsięwzięcia, mocno nadszarpnięty prawie u samego startu przez grupy chuliganów, którzy zaopatrzeni w książeczki autostopowe, dokonali kilkudziesięciu wykroczeń, zresztą wyolbrzymionych przez opinię publiczną.  
A przecież idea autostopu to był pomysł kapitalny. Chodziło o zapew-

nienie młodzieży taniej wędrowki turystycznej po kraju w oparciu o uprzejmość kierowców, posiadających w samochodach wolne miejsca. Była

Dokończenie na str. 4-5

## IMPRESJE Z KRAJU RAD

# Pisarz to brzmi dumnie

Ireneusz J. Kamiński

**W** KOLEJCE przed dworcem Moskiewskim stoi kilkadziesiąt osób: zupełnie młodych, całkowicie starych, białych i złotych, ubranych w ciemne garnitury i nylonowe koszule albo w kiecki proste, kolorowe. Niektórzy z mężczyzn noszą na głowie azerbejdzańskie zapeczki wyszywane srebrną nicią, niektóre kobiety — jakies oryginalne stroiki, znane nam z filmów radzieckich. Nie unikają rozmowy z obcymi, chętnie infor-

mują po co i skąd przyjechali do Leningradu, na przykład z Władywostoku, Tbilisi, Czelabińska.  
Więc mówią, że wyprawili się tak daleko, bo chcą zobaczyć miasto Lenina, krążownik „Aurora”. Ermitaż oraz mieszca, w których przebywał Puszkina „wielki ruski poeta”, ich ulubiony pisarz, twórca świata ich wyobraźni. Jedzą

Dokończenie na str. 4-5

## Witold Zechenter DO PRYZSTANI TU, GDZIE...

Płynie przez morską pustynię  
ta wąta łódka  
wiosła jak chude patyki  
Burza unosząc  
czarną kurtynę horyzontu  
wyciąga nad wątlym czółenkiem  
gałąz obryzmiej wicher  
Wzburzyła się pościel fal  
patrz z niej nieruchome guziki  
szklitych oczu ryb  
godzin zwyczajnych dni  
zdziwionych pięknem szaleństwa  
A ona płynie  
kruchy punkt  
do przystani nieprawdopodobieństwa  
Dopłynię  
ten okrucich lichy  
pomimo burzy  
przez otchlań  
wicher  
mrok  
Dopłynię  
tam  
gdzie czeka port:  
cierpliwe serce człowieka.

Tu  
gdzie mnie nie ma  
tam  
gdzie mnie nie będzie  
szumią ogromne drzewa  
łowiąc w rozpięte gałęzie  
milczące ryby chmur  
Dyszą przepasie gor  
głębokim odpoczynkiem  
ciszą narysowaną na szybie powietrza  
tak delikatnie  
jak myślą niewidomego  
Snują się gwiazdy  
rozsypane po zapomnianych  
ścieżkach  
którym przeszkadza cień  
ostatniego dnia jesieni  
i płynie cicho na fali marzenia  
jeden wiersz  
może jedno zdanie  
słowo tylko  
co może zmienić w potężne orędzie  
pustkę milczącą  
lecz go niki nie powie  
tam  
gdzie mnie nie ma  
tu  
gdzie mnie nie będzie.



**K**IEDY w piśmie codziennym ukazało się ogłoszenie prezydenta Zamościa, że w zabytkowym ratuszu odbędzie się publiczna dyskusja nad projektem miejscowego planu zagospodarowania przetrzeźnionego i rewitalizacji Zamojskiego Zespołu Zabytkowego (że też nie umiemy wymyślić krótszych określeń!) — uciechałem się bardzo. Kiedyś takie dyskusje były rzeczą dosyć powszechną, dzisiaj należą do rzadkości, jako że architekci, urbanisci i ich przełożeni uważają się za ludzi wszytkowiedzących, którym jakies tam wtrącanie się szarego obywatela tylko przeszkadza.

Ale już przy czytaniu ogłoszenia zastanowiło mnie, iż ową dyskusję, publiczną przecież, wyznaczono na godzinę 11. Nie wyobrażam sobie dyrektora, np. fabryki mebli, który majstrowi, chcącemu iść na ową dyskusję, powie: idź i powiedz swoje, a chociażby tylko posłuchaj, co chcą zrobić z twoim miastem. Identyczne wątpliwości miałem myśląc o szefie MPO czy kierowniku urzędu pocztowego.

Lojalnie muszę przyznać, że organizatorzy rozesłali także szereg zaproszeń imiennych. Jeden z moich znajomych, dyrektor instytucji zaangażowanej w rewitalizację zamojskiego Starego Miasta, otrzymał takie zaproszenie dwie godziny przed rozpoczęciem dyskusji — kiedy właśnie wchodził do Urzędu Wojewódzkiego, dokąd go wezwano służbowo. Zawiadomiono także, jak mnie zapewniano, szereg zakładów pracy, jakby mając nadzieję, że wstrzyma-

teraz po przerwie, jest podobnie. W zasadzie nie mają nic do powiedzenia, bo projekt planu był już przedmiotem dyskusji na szczeblach ministerialnym, wojewódzkim i miejskim, w pracowniach i biurach specjalistycznych, a nawet z przyszłymi użytkownikami (społecznościami). Milczą zatem i tylko dla grzeczności, gdy na sali zapada kłopotliwa cisza, poruszają, jakies marginesowe sprawy. Nie zachęca też do zabierania głosu takie, dosłownie, stwierdzenie jednego z głównych projektantów: „Jesteśmy w fazie zakończonej koncepcji planu, a dokładniej — w fazie zaawansowanej fazy ostatecznego opracowania planu w tej jego wersji zatwierdzonej”. (Wyjaśnienie zawilosci: plan nie jest jeszcze zatwierdzony). Jeżeli tak, to trzeba zapytać: po co w ogóle dyskusja? Nie dziwię się teraz, że w ciągu dziesięciu dni wystawienia planu w ratuszu ani do Dyrekcji Odbudowy Miast i Osiedli Wiejskich w Zamościu, ani do kancelarii prezydenta miasta nie wpłynął żaden list w sprawie tego planu. A w grubej książce „Uwag i wniosków do planu”, wyłożonej obok plansz, znalazło się — poza grzecznościowymi formułkami wycieczkowiczów z różnych stron kraju — tylko jedno pytanie merytoryczne, wpisane przez pewnego radnego miejskiego.

Teraz takich pytań osób postronnych pada kilka, przy czym tylko doc. Jan Kowalczyk z Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Warszawskiego odważył się zadeklarować: nie zgadzam się, moim zdaniem powinno być inaczej itp.

nielawa Herbata oraz „Zamość” tego ostatniego. Rzecz jednak w tym, że pierwsza książka została opublikowana jeszcze w roku 1936, a druga w 1955. Od tego czasu nasza wiedza o dawnym Zamościu jak i jego historii znacznie się wzbogaciła, ale publikacje na ten temat są rozrzucone w bardzo wielu czasopiśmie. Zresztą i w ostatnim roku, jak to oświadczył doc. Kowalczyk, odnaleziono szereg cennych materiałów, przede wszystkim ikonografii — łącznie z fotografiami poszczególnych kamienic. Należy mieć nadzieję, że materiały te zostaną wykorzystane już przy obecnej rewitalizacji. Tak np. odnaleziono niedawno nowe przekazy ikonograficzne dotyczące kościoła ormiańskiego, które pozwoliłyby na jego odbudowę, gdyby na przetrwałych fundamentach nie zbudowano współczesnego hotelu.

Są też przeciwstawne poglądy, jak wykorzystać plac po dawnym dworcu autobusowym, tuż koło ogrodu zoologicznego i ronda. Co tu ma powstać — budynki mieszkalne, parking, targ, zielen? Na to pytanie odpowiedzi, niestety, nie usłyszeliśmy. Podobnie jak na pytanie w sprawie palacu. Jedni twierdzą, że nadaje się na zespół placówek kulturalnych, inni, że należy tam umieścić przyszłą filię UMCS, ewentualnie własną wyższą uczelnię. Jeżeli zapadnie decyzja kontynuowania w jakiejś formie tradycji Akademii Zamojskiej.

Na przedstawionych planszach zaproponowano również dobudowanie w kilku miejscach nowych skrzydeł do istniejących kamienic, co z punktu widzenia urbanistycznego zamknie kompozycje poszczególnych bloków. Tylko jak ma wyglądać to „dobudowanie” — nowoczesne, czy też dostosowane materiałami i całym wystrojem do już istniejących budynków? Pogodzenie zabytku z nowoczesnością rzadko się udaje — przykład moskiewskiego Pałacu Zjazdów jest tu owym wyjątkiem, czemu zresztą sprzyjała topografia Kremla, wzbogacona bogatą i troskliwie pielęgnowaną zielenią.

Bardzo kontrowersyjna była — i jest — sprawa obwodnicy. Mianowicie projektanci przewidują zbudowanie jej tylko od północnej części miasta, natomiast nie uznają potrzeby jej istnienia od strony południowej nawet w dalekiej przyszłości. Wskutek tego połączenie kierunków z Hrubieszowa i Tomaszowa na Szczepieszynie i Bilgoraj będzie cztery razy dłuższe niż było by na obwodnicy południowej. Wydaje się, że w projekcie planu nie doceniono rozwoju i potrzeb motoryzacji.

I wreszcie przedmieście przy szosie do Tomaszowa. Ze względów urbanistycznych i architektonicznych jest to również cenny zabytek, co wszyscy obecni zgodnie uznali. Zabytek, który należy chronić zarówno przed samodevastacją jak i „poprawianiem”. Być może tu właśnie leżała ongiś osada, która skłoniła imć pana hetmana do takiej, a nie innej lokalizacji Zamościa. Okazało się jednak, że zięcenie opracowania planu nie obejmowało tego przedmieścia. Szkoda, bo czas robi się — a do tego problemu nikt się nie zabiera.

Były jeszcze pretensje, że domy w zabytkowej części miasta, a zwłaszcza wokół Rynku, kryje się blachą nie dachówką, były sugestie, aby pieczołowicie dbać o utrzymanie w stylu epoki oświetlenia ulic i placów (naturalnie elektrycznością), była wreszcie przestroga, aby nad sklepami nie malować szyldów, ale umieszczać stylowe wywieszki metalowe, mimo że żaden z dotychczasowych projektów nie zyskał aprobaty pani konserwator miasta.

Aż dziw, że tyle spraw poruszono na tym kameralnym zebraniu. Ile ciekawych propozycji, wniosków i uwag mogła przynieść rzeczywista publiczna dyskusja... Jak natrętną muchę odpędzam od siebie brzydkią myśl, że w gruncie rzeczy nikomu na takiej dyskusji nie zależało.

## Dyskusja publiczna bez publiczności

Jerzy Dostatni

ją one produkcję i załoga pod wodzą przewodniczącego rady zakładowej tłumnie przybędzie do sali Consulat, gdzie owa dyskusja miała się odbyć.

I odbyła się, tylko czy to rzeczywiście była dyskusja publiczna?

O godzinie 11 w holu ratusza snuły się cztery osoby, w sali obwieszonych gęsto różnymi planszami, pięć osób. Wyglądało na to, że wszyscy znają się doskonale i nie mają sobie nic do powiedzenia. Potem zjawiali się następni, kordialnie witając się z już czekającymi. Tylko trzech młodych ludzi i jeden ksiądz trzymali się na uboczu.

Dyskusja rozpoczęła się z półgodzinnym opóźnieniem, za co nikogo nie przeproszono, a nawet nie wytłumaczono, dlaczego tak się stało. Czyżby podobne opóźnienia były w Zamościu rzeczą normalną?

Plan, o którym mowa, został opracowany przez zespół Pracowni Konserwacji Zabytków w Rzeszowie w ciągu 16 miesięcy, co oznacza — jak podkreślił szef zespołu — że prace wykonano w rekordowo krótkim czasie. Głównymi projektantami są: mgr inż. arch. Andrzej Piątek i mgr inż. arch. Janusz Mach, a w skład zespołu wchodzi: mgr inż. arch. Teresa Piątek, mgr inż. arch. Stanisław Wiercioch, mgr inż. arch. Wojciech Sobek, mgr Kazimierz Brydak i mgr inż. Barbara Lejda.

Po krótkim zagajeniu szef zespołu przedstawił plan zagospodarowania Zamojskiego Zespołu Zabytkowego, to i owo pokazując na kolorowych planszach, wykonanych bardzo starannie i przejrzysto. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że przedstawianie owego planu trwało równo dwie godziny. Bez żadnej przerwy. Początkowo obecni słuchali z uwagą, potem z roztargnieniem, a pod koniec wcale. Już przecież w szkole podstawowej uczyli nas, że po 45 minutach umysł ludzki przestaje normalnie pracować, a po godzinie jego percepcja w ogóle ustaje. Wykłady na wyższych uczelniach też nie trwają dłużej. Wreszcie nie wytrzymał prowadzący dyskusję prezydent miasta, ale i jego interwencja przyniosła tylko częściowy skutek.

Do samej istoty planu nie można mieć zastrzeżeń, jego fragmenty były już omawiane w prasie codziennej. Przypomnę więc tylko, że zabytkowa część Zamościa ma pełnić aż cztery funkcje: mieszkaniową, administracyjną, usługową i naukową. Tak, jak każde inne miasto, choćby tylko o proporcje. I że odbudowa połączona z modernizacją jest trudna oraz kosztowna, wymaga wielu specjalnych rzeczy — ludzi, materiałów, sprzętu i narzędzi.

Na sali początkowo było około 60 osób, kilka bardziej niecierpliwych wyszło w czasie przedstawiania planu. W czasie przerwy, która miała trwać piętnaście minut, a trwała ponad pół godziny, znaczna większość zniknęła. Byli to prawie wyłącznie ludzie, zawodowo związani z pracami rewitalizacji, zresztą

A więc najpierw funkcja mieszkaniowa zespołu zabytkowego. Projektanci są zdania, że powinno tam mieszkać 1800 osób, co uważają za minimum. Wydaje się, że jest to liczba zbyt mała. W praktyce może okazać się, że w rezultacie będzie to dzielnica po południu i wieczorem martwa, podobnie jak swego czasu była ulica Krucza w Warszawie, a jest obecnie Długi Targ w Gdańsku. Słowem — martwy zabytek. A rzecz pogorszy jeszcze fakt, iż z rejonu zabytkowego mają być przeniesione wszystkie szkoły średnie. Więc nawet przed południem nie będzie tam ludzi młodych, barwnie ubranych, może zbyt głośnych, ale przecież nadających każdemu miastu jakiś koloryt, gwar, radość życia. Nie zastąpią tego, nawet w sezonie turystycznym, maszerujące w kolumnach, często przemęczone wycieczki. A co po sezonie? Osobiście byłbym nawet zdania, że szkoły należy nie tylko pozostawić, ale nawet możliwie przestawić na drugą zmianę. Ciemne okna na wszystkich piętrach i pustawe ulice — czy tak ma wyglądać wieczorem piękny Zamość?

Sprzeciw budzi też sugestia, aby nie odbudowywać murów obronnych. Zamość przez 350 lat był twierdzą, w tej roli utrzymał się zarówno w historii, jak i w sienkiewiczowskiej legendzie o Zagłobie, oferującym Inflanty. Jeżeli utrzymujemy Rotundę, przecież dawną działobitnię, a nawet zamieniliśmy ją na pomnik najnowszej historii, to czy godzi się wykreślić z dziejów miasta owe 350 lat, gdy twierdza zamojska była jednym z głównych filarów obronnych Rzeczypospolitej? Jeżeli tak, to po co urządzać w arsenale muzeum broni, którą używano głównie przy obronie i atakowaniu twierdzy, po co odbudowywać nadszańce, których istnienie trudno będzie wytłumaczyć.

A niby dlaczego mieszkania w zabytkowej części mają mieć gorszy standard niż te w cementowych blokach? Modernizacja obejmuje przecież doprowadzenie wszystkich nowoczesnych instalacji, odnowienie tynków i podłóg, generalny remont klatek schodowych itd. W wielu wypadkach kłopoty może mieć tylko kwaterunek, zmuszony do przydzielania przyszłym mieszkańcom znacznie więcej powierzchni użytkowej, niż to przewidują obecne przepisy. Ale w miarę rozwoju nowoczesnego budownictwa przepisy w tej dziedzinie znacznie łagodnieją. A przede wszystkim mieszkania należy przydzielać odpowiednim ludziom: malarzom — bez potrzeby budowy specjalnych pracowni, muzykom — którzy nie będą irytowali sąsiadów, naukowcom — którzy wypełnią przestrzeń pokoju swoimi książkami, wszelkiego rodzaju hobbystom — na pomieszczenie, ich zbiorów.

Projektanci przyznali, i to jest niewątpliwie prawdą, że przed opracowaniem projektu planu przestudiowali znakomitą większość publikacji książkowych, dotyczących Zamościa. Podstawową pracą jest „Twierdza Zamość” (!) Jana Zachwatowicza i Sta-



Fot. Janusz Urban

morożonnoje, popijają wodą z sokiem z automatów — trzy kopiejkę — błądzą palcami po planie Leningradu — 50 kopiejkę — i zwracają się pytającym, że chcą zobaczyć wszystko: co dobre tutaj i co złe. Dobrze zostanie w pamięci, że samo przepadnie — komentuje starsza kobieta, o uśmiechu matki: dobrotliwym, wybaczącym. A kiedy Marysia z radia pyta ją, mieszkankę Gorki, co w życiu robiła, odpowiada: „Wszystko, od białej do czarnej roboty”.

Stoją w tej kolejce po bilety w turystyczny Leningrad robotnicy i studenci, kołchoźnicy i urzędnicy, stoi prawie cała reprezentacja narodów żyjących w Związku Radzieckim. Każdy szanujący się obywatel tego kraju musi odwiedzić Leningrad, bo pobyt w tym mieście jest nie tylko powodem osobistej satysfakcji, ale również czymś wielce nobilitującym w oczach otoczenia. I na tym polega egzotyka tego społeczeństwa.

A kiedy wybiorą jedną z wielu oferowanych tras — pomniki rewolucji, śladami Puszkina czy Dostojewskiego, muzea sztuki etc. — kiedy otrzymają bilety i szczegółowy program wyprawy z jakąś niezwykłą zachłannością i powagą zaczynają spełniać cel swej podróży. Ci, którzy dotrą do muzeum Puszkina przy Mojkki 12, znajdującym się w mieszkaniu, gdzie poeta zmarł w 1837 roku, ulegają niemal uniesieniu. Bo Puszkina w ich oczach jest nie tylko autorem „Eugeniusza Oniegina” czy „Jeźdźca miedzianego” ale wręcz świętością egzystującą w aureoli swej poezji. I nie daj Boże, aby ktoś dotknął eksponatów — pamiętek po poecie!

Ten intensywny sposób przeżywania literatury można by wyjaśnić egzaltacją ludzi, którzy z różnych stron Związku Radzieckiego przyjeżdżają do legendarnego miasta, oczekując największych wstrząsów. Ale...

W wielkiej księgarni przy Newskim Prospekcie trudno kupić nowości — bo idą jak woda, choć nakłady nie są wcale małe. Spotykałem ludzi czytających książki w wagonach metra (to znane) w parkach, restauracjach.

Zapytajmy więc, jaka jest pozycja społeczna współczesnych pisarzy radzieckich?

Z hotelu „Październikowy” — zajętego przez Finów, którzy w trzy godziny zjeżdżają tutaj z Helsinek swoimi wielkimi autokarami — na ulicę Wołnowa 18 można dojechać tramwajem nr 19. Tam właśnie mieści się leningradzki oddział Związku Pisarzy Radzieckich, gdzie dzięki uprzejmości Jewgienija Wiktorowicza Niewiakina, sekretarza komisji zagranicznej oddziału, uzyskałem sporo interesujących mnie informacji.

W Leningradzie mieszka 400 pisarzy skupionych w sekcjach: prozy, poezji dramatu, literatury naukowo-fantastycznej (bardzo liczna) oraz w dwóch komisjach: zagranicznej i literatury dokumentalnej, do której może trafić reportażysta, ale tylko w wyjątkowych przypadkach, albowiem pisarz to jest pisarz, a żurnalista to jest wyrobek pióra. Tylko połowa członków związku utrzymuje się z pracy etatowej, powiedzmy — w redakcjach czasopism i wydawnictw. W Leningradzie ukazuje się pięć periodyków literackich, adresowanych do różnych pokoleń. Dorosli mogą czytać „Nowe” (300 tysięcy nakładu) i „Zwizdę” (ukazuje się od 1924 r.) młodzież — „Aurorę”, dzieci — „Kastior” czyli „Ognisko”, najmłodsi zaś — „Iskierkę”. Kształtowanie zainteresowań i gustów literackich zaczyna się więc bardzo wcześnie i ma charakter metodycznego działania, co na pewno nie pozostaje bez wpływu na społeczne uwarunkowanie na prozę i poezję, na formowanie się „legendy pisarza”.

Pracują tu ponadto takie wydawnictwa książkowe, jak „Sowietskij Pisatel”, „Lenizdat” — oraz filie „Chudożestwien-

noj Litieratury” i „Dietskaj Litieratury”, nie licząc innych, o charakterze naukowym.

Niektórzy członkowie związku są lekarzami lub inżynierami i te profesje stanowią ich główne źródło utrzymania.

200 osób żyje wyłącznie z pracy pisarskiej. Stanowią oni jedną z najlepiej sytuowanych grup społeczeństwa radzieckiego, a to dzięki całemu systemowi materialnego wsparcia. Jego głównym ogniwem jest tzw. fund, czyli fundusz literatury, na który składają się dochody z wydawnictw oraz kilkuprocentowa „prowizja” od każdej książki wydanej w kraju. W sumie są to poważne środki, umożliwiające nie tylko prowadzenie sensownej polityki stypendialnej. Pisarze leningradzcy mają do swojej dyspozycji 80 miejsc w domu pracy twórczej w Komarowie nad Zatoką Fińską, liczne dachy podmiejskie, własną poliklinikę, a nawet warsztaty

krawieckie. Dodajmy, że były pałac hrabiego Szeremetiewa, w którym mieści się oddział leningradzki, został подарowany na własność związkowi pisarzy przez państwo. Jeszcze niedawno wisiał tam obraz Kazimierza Malewicza, jednego z czołowych artystów radzieckiej awangardy lat dwudziestych, oceniany dziś na 300 tysięcy dolarów. Muzeum Rosyjskie przypominało sobie o depozycie.

Jewgienij Niewiakina zobaczywszy, z jakim rozgorączkowaniem notuje te „dane ekonomiczne”, wtracił mimochodem: „Dobrze sytuowani są tylko ci, proszę o tym pamiętać, którzy solidnie pracują”. Powiedzmy więc, że do tej grupy można zaliczyć takich autorów, którzy publikują książki co dwa lata. I weźmy pod uwagę, że dziesięcioarkusowa powieść przynosi twórcy przeciętnie 10 tysięcy rubli, sporo, bo obowiązują tutaj taka zasada: najpierw drukuje się

# Pisarz to brzmi dumnie



J.U.

Rys. Jacek Urbański

## APOSTOŁ

Dokończenie ze str. 1

to bardzo specyficzna forma turystyki zorganizowanej. Każdy autostopowicz musiał wykupić rejestrowaną na swoje nazwisko książeczkę, zawierającą kupony dla kierowców odpowiadające liczbie przejechanych kilometrów. Na posiadaczy największej liczby kuponów czekały nagrody rzeczowe.

Na początku 1958 r. powstał Społeczny Komitet Autostop. W jego skład weszli przedstawiciele prawie wszystkich organizacji, instytucji i resortów zainteresowanych wychowaniem młodzieży i organizacją turystyki młodzieżowej. Przede wszystkim: Związku Młodzieży Socjalistycznej, Związku Młodzieży Wiejskiej, GKKFiT, Rady Naczelnej ZSP, Głównej Kwatery ZHP i ZG PTTK. Szczególnym oredownikiem imprezy był tygodnik „Dookoła Świata”, cieszący się w owym czasie wśród młodzieży dużą popularnością.

W pierwszym roku książeczki autostopowe sprzedawane były w kioskach „Ruchu”, a dolna granica wieku uczestników wynosiła 16 lat. W drugim roku aktywnie działające Biuro Autostopu wydało specjalną mapę turystyczną. Rok trzeci, czyli 1960, był „czarnym rokiem autostopu”. Na drogach znalazły się rzesze młodzieży nie przygotowanej do tego rodzaju turystyki, często bez środków finansowych. Powstał owczy pęd do „zaliczania” jak największej liczby przejechanych kilometrów, pojawiła się grupa „starych szosowców”, „wyjadaczy tras”, chwilami ginęła idea turystyki i rozsądnej pogoni za przygodą, a zaczynało się włóczęgostwo. Rok 1960 i 1961 — to okres walki o właściwą twarz autostopu, lata zostrzonych kryteriów i zmiany regulaminu. Min. młody człowiek wruszający na trasę musiał mieć minimum 18 lat i posiadać książeczkę oszczędnościową z co najmniej czterystuzłotowym wkładem. Batalia została wygrana, ale może właśnie z

powodu tych pierwszych, trudnych lat autostop do dzisiaj znajduje się pod czujnym okiem opinii publicznej. Słowo „autostop” zrosło się jednak na co dzień z językiem polskim: chodzimy w butach „autostopkach”, używamy mydła i kremu „Autostop”, piszemy na papierze listowym „Autostop”. Powstało kilkanaście piosenek o autostopie, ze słynnym kiedyś szlagerem w wykonaniu Karin Stanek na czele, na autostopie dzieją się akcje czterech filmów i trzech powieści, a w ciągu ostatnich lat napisano na temat autostopu trzy prace magisterskie.

W sierpniowy wieczór 1961 roku, po nieudanym zlocie autostopowym w Bolkowcie niedaleko Jeleniej Góry, spotkałem po raz pierwszy starożytnego, brodatego doktora, który twierdził, że autostop przywrócił mu zdrowie i przedłużył życie...

Siedziałem z Aleksandrem Melechem w bolkowskiej kawiarence. Od rana lato. Autostopowicze wychodzili ze schroniska nakryci palatkami i szli na szosę. Po drodze wstępowali do kawiarni i pili herbatę, albo kazali sobie grzać piwno. Wtedy właśnie, sącząc herbatę szklanką za szklanką, opowiedział mi doktor historię swojego życia i swoją własną historię autostopu...

— Piszę o mnie, że jestem doktorem medycyny — mówił — ale mało kto wie, że ja posiadam jeszcze jeden zawód. I tak sobie myślę że moje podróże po świecie, autostop w Kanadzie, a potem w Polsce, są może nie tylko wynikiem przygodki, zupełnie przypadkowo zdobytego zawodu. Otóż ja, proszę pana, jestem jeszcze inżynierem rolnikiem. Tak, tak... Instytut Rolniczy w Puławach. Tysiąc dziewięćset siódmy rok!

Doktor urodził się w styczniu 1893 roku w Wilnie, skończył tam gimnazjum i wstąpił do Wojskowej Akademii Medycznej w Petersburgu. Ale kiedy był na drugim roku stu-



# NIEZNANE WIERŠE TADEUSZA BOROWSKIEGO

**D**ZIEKI zgodzie Marii Borowskiej oraz uroczym Tadeusza Drewnowskiego możemy dziś przedstawić nie publikowane dotąd utwory autora „Proszę państwa do gazu...”

Podobnie jak resztę dorobku, tak i te inedita rozpatrywać trzeba całościowo, wtedy bowiem dużo łatwiej będzie uniknąć tak często związanych z tą twórczością błędów interpretacyjnych.

Debiutancki tom Borowskiego „Gdziekolwiek ziemia...” operował niezgodną pozornie z tematem poetyką klasykistyczną. Pozornie tylko, bo dystans podmiotu lirycznego i budowany przezeń światopogląd zakładały postawę świadka, który z ironią wiedzącego o fatalizmie historii przygląda się rzezi. Kiedy później Borowski zaczął atakować samą kulturę, będącą wg. niego systemem kryjących rzeczywistość sytuację kłamstw, wtedy język jego zerwał ze spokojem heksametru, by zwrócić się do diametralnie innej możliwości. Z dużym prawdopodobieństwem powiedzie można, że z tego właśnie okresu pochodzą zamieszczone tu wiersze, lecz bardziej precyzyjnej daty nie da się dziś chyba ustalić. Niektóre z nich, notowane na odwrocie blankietów obozowych, świadczą o tym, że pisane były jeszcze w czasach lagrów lub tuż po ich opuszczeniu. Pełna bezpośrednich reakcji na pierwsze wydarzenia nowego świata tematyka zdaje się potwierdzać taką tezę.

Borowski zauważa wtedy, że pod względem struktury nowy ład nie będzie się różnił od poprzedniego. Widzi on dobrze, iż powstaniu paralelnych instytucji znów towarzyszy tworzenie się oficjalnego języka i związanych z nimi społeczno-socjologicznych konwencji. Zadaniem poety aneżującego się w wydarzenia będzie wtedy skonstruować kod mający szansę przebicia się przez skorupkę stereotypowej frazeologii. Próba takiego pisania są w dużym stopniu wiersze tu zamieszczone, trudno więc zaliczyć je do „czystej” twórczości literackiej. Znajdując się na pograniczu literatury dokumentu i inwektywy siłą rzeczy nieść muszą ze sobą niewielkie wartości estetyczne. Z tego też powodu — a także przez drastyczność zawartej w nich postawy — nie znalazły się one w tomie opracowanym przez Tadeusza Drewnowskiego.

Kiedy nowa formuła poetycka staje się atakiem nie tylko na język, ale i na kulturowe wzorce zachowań, wtedy w utworach takiego pokroju znajdzie się wiele słów o ujemnym zabarwieniu stylistycznym, wyrazów obcych, skompromitowanych hasel, sloganów, skrótów czy świadomie dyktancko wyprowadzanych etymologii. Te prowadzące do opowiań, wiersze Borowskiego zdają się mieć swoje miejsce w takiej właśnie kategorii. Ów śpiew „pekniętej litry” na widok świata wracającego do odwiecznych porządków jest próbą wyjścia poza bezsilną literaturę i chęcią zanotowania dalekich od świata oficjalnego przeżyć i doznań.

Próba przełamania starych konwencji poetyckich przypomina dokonanie Raymonda Quenau czy po trochu wzorowane na nich wiersze Bursy. O ile jednak Francuz ustosunkował się w ten sposób do zagadnień ściśle kulturowych, o tyle krakowski poeta szedł raczej w stronę zdewaluowania sztampy.

Ironicznie można by mówić o niedojrzałości politycznej Borowskiego, dzisiejsza publikacja niech stanowi jednak przede wszystkim próbę spłacenia swoistego honorarium, o którym w jednym z zamieszczonych tu wierszy mówi ich autor.

Bernard Nowak

## POWROTY

Szerokie morza marsylianki  
„allons  
enfants de la patrie”  
z wszystkich  
nawet bardzo dobrych sfer,  
na bulwarach, wszędzie (nawet na Montmartrze),  
„vive la France” statystycznie się drze,  
Ulice żywiołowe jak parowe łaźnie  
burdele — rozsądzone  
demokratycznym entuzjazmem,  
sztafardami rozwiane frontony  
polityczną owinięte mgłą.  
Na lotnisku  
zwanym od dawna Le Bourget  
z samolotu marki „Liberator”  
(należącym do l'Armée de l'Air),  
milionowy ładuje Francuz  
więzień imieniem Garron.

Odśpiewano idiotyczne pieśni.  
Pan minister od prisonerów  
przyjął mu na piersi order,  
schylił się i pocałował  
wprost  
w nieogoloną przez tydzień mordę.

przy czym rzekł „vive la patrie”  
(zaraz zresztą dodał wstydliwie „pardon”).  
Pan minister zwał się mesje Fresuay,  
a więzień (co powiedziano)  
nazywał się Garron.

A my — pojedynczo, chyłkiem, pokryjomy  
przez zieloną granicę, zakazaną drogę  
do Ojczyzny, we snach  
do domu,  
do mogił...

Poszukamy, nie znajdziemy nikogo  
popatrzymy, popatrzymy w obce twarze  
pomilczymy, no cóż: każdy wie...  
tak...

.....

Nalóżysz na ciału, owinięty  
owinięty się szczelnie kocem,  
na kawałku papieru spisałem  
dzieje świtu i dzieje tej nocy,

a za całe moje honorarium  
(redaktorzy je dawno przepili)  
niech zostanie szacunek dla zmarłych  
i śmiech ostry z tych, co przeżyli.

\* \* \*  
No co? Tworzymy armię? Polskie POW?  
No co? Pójdziemy bić się i zdobywać sławę?  
No co? Tomigan w łapę i drużyna w bój  
z „Boże coś Polskę” — wprost na Okinawę.

\* \* \*  
niebo chmurami się pieni  
jak z dna akwarium patrzę  
skóry dziewczęce są gładkie  
pachną oliwą

woń okraża głowy  
amerykańskim hełmem  
wir haben das nicht bewusst  
łzami zapiera się niemka

pięścią mitingu uderzamy  
w nazi zgnilego trupa  
niech żyją sssr  
sssr itd

janki zza oceanu  
mordą jak krowa rusza  
dobra jest guma do żucia  
marki brothers williams

Kamel and portion d  
mięsa ojczyzny porcje  
amerykańską woń  
stukotem maszyny mercedes

## TĘCZA W OCCIE

Lapownicy i żandarmi  
na odciski nogi moczcie.  
Tu sprzedaje się za darmo  
tęcza w occie, tęcza w occie.

Kto z obozu, a kto z frontu,  
temu w liście można wysłać.  
Tu sprzedaje się a konto  
woda z Wisły, woda z Wisły.

Każdy jeden obywatel  
dziś mieć będzie byt spokojny.  
Tu sprzedaje się na raty  
śnieg sprzed wojny, śnieg sprzed wojny.

Kto w dzierżawach, kamienicznik,  
kto w rachunkach bardzo biegły,  
tu sprzedaje się zaliczka  
przelamana ćwiartka cegły.  
Przelamana ćwiartka cegły.

Rynek drzewny, branża mięsna,  
parcelacja, ciężki przemysł.  
Dźwigniem w górę przesła, przesła,  
budujemy, budujemy.

## WESTCHNIENIE DO WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Demokratycznej Polski Święci  
członkowie Org. (Grupa Oświęcim)  
z cierpiętą twarzą bohatera  
Blockaltestera, Blockschreibera,  
flegera pana Zengtelera  
Laufera lub magazyniera,  
a już kucharza albo pipła —  
módlcie się za nas — ludzi zwykłych...  
Bo wam — każdemu miejsce Pan da  
na dobrych, niebieskich komandach.  
A nam znów zdychać przyjdzie za nich  
jak w Oświęcimiu — muzułmanom...

## SMUTNA AUTOSATYRA

W esmaskich spodniach  
chłopak z kacetów,  
najstarszy więzień  
z wszystkich poetów.

Uludny fantom  
z hellenskiej wazy,  
a sam nie może  
nawet dwa razy.

Z czterech kacetów,  
z lagrów piętnastu  
piszę liryki  
dla pederastów.

Nawet dwa razy,  
bo nie ma kogo  
klnę się, że nie mam  
na obywat. Boga.

Piszę liryki  
p. emigrantom  
i gonię w wierszach  
uludny fantom.

A sam nie może,  
peknięta lira,  
ten wiersz to smutna  
autosatyra.

## FRASZKA EPICZNA

pamięci Boya

Piszesz o wojnie, boś poeta,  
że to tak ładnie: bomby, dymy,  
aż nagle ci pomiędzy rymy  
wplączę się taki rym: kobieta.  
I wtedy żebyś, durniu, skonał,  
I wtedy nie ma już harmonii,  
że oni nie tak jak ty w łóżku  
z Regina czule mają noce,  
noce niespane na pieszczotach,  
że oni w polu lub w baraku  
jakże z wiadomych cierpią braków  
i nie dziewczynę, lecz, o męko  
spuszczają sobie żądzę ręką...

## FACET

Pewien facet  
z parabellum  
rzekł do gościa: „Obywatelu  
Si vis pacem  
para bellum.  
Oddaj forszę.”

I wziął forszę.



Fot. Waldemar Gryta /

**C**o jest sprawą wiodącą w mieście nad Wyżnicą? Zastanawiam się nad tym w czasie moich wielokrotnych pobytów reporterskich w Krasniku Lubelskim i Fabrycznym. Oczywiście, nawet pobieżnemu obserwatorowi rzuca się w oczy, że dominującą rolę odgrywa tam Krasnicka Fabryka Łozysk Tocznych, eksportująca swoje wyroby do 56 krajów świata. Powstała w 1949 roku, a już w pięć lat później dzięki niej osiedle Dąbrowa Bór uzyskało prawa miejskie i wzięło nazwę od sąsiedniego grodu, by po 21 latach zespolić się z nim w jeden organizm. Kiedy 1 października 1975 roku to administracyjne połączenie nastąpiło, nikt nie ludził się — i do dziś chyba temu uczuciu nie ulega — że proces rzeczywistego zespolenia nastąpił szybko. Fabryka jednak była, jest i będzie niewątpliwym czynnikiem miastotwórczym. Zapewniała i zapewnia rozwój nie tylko tej części od strony Urzędowa, ale i staremu miastu. Dziesięć miliardów złotych, jakie inwestuje się w nią tylko w jednym dziesięcioleciu, rolę tę jeszcze bardziej potwierdza.

Z kolei, gdy Krasnik nosił jeszcze przydomek „Lubelski” i był siedzibą powiatu, narzucała się jego rola usługowa dla okolicznych gmin, dla dobrze rozwijającego się rolnictwa, a to że w oddalonym o 8 kilometrów Fabrycznym pulsuje życiem zakład należący do przemysłu kluczowego, pozostawało tylko w podświadomości. Wydawało się ponadto, że obok funkcji administracyjnych stary Krasnik stanowi centrum życia kulturalnego dla obu miast i byłego powiatu. No, bo dom kultury, mający w programie szeroki zakres oddziaływania, no, bo Festiwal Pieśni o Ojczyźnie. Impreza ta przyczyniła się niemało do rozświecenia grodu, który 26 lipca br. obchodził 600-lecie potwierdzenia praw miejskich przez króla Polski Ludwika Węgierskiego.

Obecnie przychodzi mi odrzucić każdą z tych domniemań i szukać nowej idei przewodniej, która jest siłą wiodącą statystycznie zsumowanej społeczności krasnickiej.

Wspominana suma w podliczeniu wynosi nieco ponad 32 tys. mieszkańców zajmujących obszar wielki, bo 25 i pół kilometra kwadratowego. Tak, ale osiem kilometrów to prawie pusta przestrzeń między obu częściami miasta z tu i ówdzie rozszanymi zabudowaniami gospodarskimi!

Z licznika samochodu można odnotować, że od granic z Urzędowem, przysuwając za trasę kształt obu części, trzeba przejechać 21 km, aby znaleźć się na czubku krańca miasta. Takie ukształtowanie Krasnika musi mieć oczywiście wpływ na myślenie jego gospodarzy, na kształtowanie się idei planowania przestrzennego urbanistów. Od razu trzeba powiedzieć: mimo że, jak napisałem, nasz złudzeń o łatwości zespolenia obu organizmów w jeden nie posiadał, to jednak w świat poszły optymistyczne wieści. Jedną może „Kamena” w artykule Jerzego Dostatniego pt. „Słub o północy” przyjęła ton bardziej powściągliwy (nr 22/586 z 2 listopada 1975 roku). Tymczasem dopiero po decyzji o zjednoczeniu wszystkie zaniedbania mocniej się uwidoczniły, wypłynęły na wierzch.

Ktoś, kto nie jest nawet obeznany z problematyką urbanistyczną i architektoniczną, łatwo może się przekonać, że tam, gdzie powstało osiedle Zarzecze, coś nie jest w porządku. Są tu zespoły sztucznie dolepiane do siebie. Znalazły się fundusze na budowę nowego budynku, więc dokleić go do tych pierwszych — także powstało tam kilka

sklepów i punktów usługowych i poprzednie odczucia musiały złagodnieć, bo nie jest to już tylko niemal hotelowe osiedle. Niemniej nie ma pożądanego wyrazu, przejrzystego układu. Podobnie działo się w części fabrycznej, tam także dolepiano kolejne zespoły domów i nazywało się, że powstało miasto liczące ponad 15 tys. mieszkańców. Może tylko „Osiedle Młodych” jawi się korzystnie. Wszędzie zbyt wiele przypadkowości, nawet tu

czasu. Ponadto 2500 członków i kandydatów obu spółdzielni czeka na mieszkania, ale już wiadomo, że liczbę tę należałoby niemal podwoić, komu więc najpierw — oto trudności sprawowania władzy w tym przeżywającym po 600 latach nowy okres mieście. Nie wzbudza to w nikim zazdrości.

Pierwszy sekretarz Komitetu Miejskiego PZPR, zarazem przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej, Wit Szymanik, w rozmowie ze mną powiada, że

## BLIŻEJ SIEBIE

Tadeusz Jasiński

i ówdzie w starej części miasta, gdzie zezwolenia na budowę nie zawsze były wydawane w oparciu o rzetelną wiedzę i racjonalne przesłanki. Dominowało tak zwane wycucie i potrzeby chwili. Przy padkowości decyzji było tak wiele, że determinują one także obecne.

Wizja zespolonego miasta dopiero się kształtuje, ale niektóre jej przesłanki są już niewątpliwie. Jakże dziś wytłumaczyć, że dwie parcele, jeszcze wolne, nie mogą być obecnie zabudowane, mimo że w ich sąsiedztwie stoją już domy jedno- i dwurodzinne? „Tamci w swoim czasie zgodę uzyskałi mogli, a ja nie? Przecież im rozebrać piętrówek teraz nie nakazacie, czemu więc zakaz spotkać ma tylko mnie?” Krasniczanie uwielbiają pisanie do władz wojewódzkich i centralnych i niekiedy dochodzą swoich racji. Owszem, chcą właściwego rozwoju miasta, które ma za 13 lat osiągnąć 50 tys. mieszkańców. „Tak, planować trzeba, porządek musi być. Czemu jednak zaczynać chcieć od mojej parceli?”

W starej części miasta wiele domów odprowadza nieczystości do kolektorów burzowych, a od nich wszystko splywa do spławnej kiedyś i czystej Wyżnicy, a z nią do Wisły — po drodze rozczarując jednak wonie w części fabrycznej. Wyżnica „wzbogacana” jest także z powodu niefortunnie zlokalizowanej miejskiej oczyszczalni ścieków, która po rozbudowie ma wystarczyć obu częściom miasta. W okresie letnim istnieje autentyczne sanitarne zagrożenie. Wczesną wiosną i późną jesienią w tak źle zagospodarowanych w przeszłości dzielnicach jest brzydko. Widoczne są rudery, które trudno wyburzyć, skoro brak — jak wszędzie — mieszkań, rzucają się w oczy liszaje zaniedbań, wynikłych nie tylko z braku środków, ale przede wszystkim z powodu dowolności i niefachowych decyzji, z braku wizji każdej części z osobna i Krasnika jako całości. Jednak zimą śnieg, a latem istniejące tam bogactwo zieleni litosciwie ukrywają stan faktyczny. Ostrożnie licząc, należałoby wyburzyć 250 budynków, nie podlegających ochronie zabytków, a wiele nią objętych właścicielami i Urząd Miejski muszą poddać kapitalnym remontom, jeżeli miałyby zdołać i nie szpeci, spełniać ponadto swoją funkcję mieszkaniową jeszcze długo. A to wymaga

zarówno instancją jak i rada posiadają już coraz pełniejszą wizję zespolonego Krasnika. Ostateczne decyzje zostaną podjęte gdy fachowcy z Biura Planowania Przestrzennego w Lublinie i jego Zespołu w Krasniku przedłożą własne widzenie i założenie projektowe. Wia domo jednak, że obie części miasta powinny iść ku sobie i temu musi być podporządkowany program jego rozwoju. Na wspólnej sesji Miejskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu i Miejskiej Rady Narodowej z okazji sześćdziesiątego jubileuszu oraz trzydziestej trzeciej rocznicy wyzwolenia, wspomniano, jak przystało, przeszłość. A więc o dokumencie polskiego króla z węgierskim przydomkiem, bo przekazując Krasnik wraz z okolicznymi wioskami Dymitrowi i Iwanowi Gorajskim, zawiera zarazem najstarszą wzmiankę o tym grodzie. Przywołano także pozytywnie panowanie rodziny Tęczyńskich, władanie ordynacji Zamoyskich. Przypomniano, ile to razy miasto zostało spalone, zburzone lub spłądrowane. Ukazano też udział krasniczan w walkach niepodległościowych w czasie zaborów i zmotoryzowanego Pułku Ulanów w ostatniej wojnie. Unaoczniono słuchaczom także postępowe tendencje tego miasta w przeszłości. To w 1905 roku kolportowano w Krasniku broszury i ulotki, odbywały się manifestacje i strajki szkolny. Tu już 3 listopada 1918 roku mieszkańcy rozbroili oddziały austriackie, a w czasie krótkiej kadencji w Lublinie Tymczasowego Rządu Ludowego wielu należało do pierwszej na Lubelszczyźnie Rady Delegatów Robotniczo-Chłopskich i Gwardii Czerwonej. W siedem lat później Aleksander Szymański założył tam Niezależną Partię Chłopską, a w czasie wojny domowej w Hiszpanii Michał Wójciewicz pomyślnie werbował ochotników do Brygady Międzynarodowej. Nielegalnie działała też Komunistyczna Partia Polski. Obaj wymienieni działacze wraz ze Stanisławem Szotem utworzyli Robotniczo-Chłopską Organizację Bojową już w lipcu 1941 r., by przygotować grunt do powstania za trzy kwartały pierwszej na Lubelszczyźnie komórki Polskiej Partii Robotniczej i oddziałów Gwardii Ludowej. Nie przypadkiem więc miasto i okolica stały się kolebką ruchu partyzanckiego regionu i rodzenia się idei przemian społecznych, słusznie społeczeństwo ufundowało więc pomnik partyzanta i pielęgnuje u siebie pieśń o

o jczyźnie. Sporo na tej sesji powiedziano o tym, co należy zrobić, aby nie zmarnować dotychczasowego dorobku. Padły zdania o dalszym rozwoju przemysłowym i budownictwie mieszkaniowym, że stanie się to za przyczyną całego krasnickiego społeczeństwa. Przyjęto te nowe zadania ze zrozumieniem i aplauzem.

W społeczności tego miasta niewątpliwie istnieje tęsknota do dalszych zmian na lepsze, a przede wszystkim do piękna. Dalo się to wyraźnie odczuć, gdy radny Stanisław Knys wspominał, że z Wyżnicy zrobiono ściekowy kanał — bez ryb i życia biologicznego. A kiedyś była spławna, „czysta i rybna, wiernie i dobrze służyła ludności zamieszkałej nad jej brzegami”. Jednak nie czczą jęremiada była jego celem. Wnet na sali teatralnej Zakładowego Domu Kultury KFLT powiało nadzieją, przynębnienie ustąpiło wyraźnemu ożywieniu: Usłyszano o planach zagospodarowania Wyżnicy, zapobieżenia dalszemu jej zanieczyszczeniu, utworzenia prawie dwustohektarowego zalewu w przyszłej pięcioletce. Trzeba będzie poprawiać mapę miasta. Jezioro zasilone zostanie wodami rzeczunkami oraz własnymi źródłami, które biją spod dawnych stawów, bagien i torfowisk. Malaryczny teren „zastąpiony będzie lustrem czystej wody, okolonej urządzeniami do wypoczynku, wypełnionej dziesiątkami ton ryb. Zobaczymy na niej białe żagle łodzi”. Oklaski, oklaski, nawet i wtedy, gdy padła propozycja współdziałania w największym czynnie społecznym, jaki kiedykolwiek miał tu miejsce. Zgodnie z tym były obie części administracyjnie tylko połączonego miasta. Czyżby był to już także wyraz spontaniczny dokonującej się choć wolno, integracji?

Szukałem jej przede wszystkim poza salą. Istniejąca od pewnego czasu komunikacja miejska także w znacznym stopniu ułatwia te procesy. Ludzie, którzy latami nie zaglądali do przedzielonej polami dzielnicy, chociaż kursowały autobusy PKS, teraz z łatwością pokonują te przestrzenie. Niekiedy zaglądają także do przybytków kultury. W rozmowie z Józefem Grzelakiem — dyrektorem Krasnickiego Ośrodka Kultury i jego zastępcą, Waldemarem Grytą, mogłem się zorientować, że zarówno warunki lokalowe, jak i obowiązki merytoryczne wobec trzynastu gmin na razie nie pozwalają w pełni wyjść naprzeciw spodziewanemu społeczeństwu. Imprezy tej miary, co Festiwal Pieśni o Ojczyźnie oraz Wojewódzka Scena Amatora (choć o przegląd zespołów folklorystycznych), na pewno dają krasniczanom okazje do spotkań się jak również i mniejsze poczynania pracowników KOK oraz Zakładowego Domu Kultury w części fabrycznej. Rzecz jest jednak, jak mi się zdaje, nie w masowych tylko, nie w oświeczeniowych spotkaniach, ale w codzienności kulturalnej obu części miasta i dlatego wszystkie dotychczasowe poczynania, które by wymienił i ocenić trzeba w osobnym właściwie artykule, powinny być ze szczególną troską kontynuowane i rozszerzane. W mieście jest kilka klubów i świetlic, rzadko spełniają one jednak swoją rolę w właściwy sposób.

W dni jubileuszowe doszło do otwarcia w Krasniku Muzeum Regionalnego. Idee tej placówki od dawna, wraz z grupą entuzjastów, pielęgnował prezes Stowarzyszenia Miłośników Krasnika, Wiktor Wilk. I oto wypełniły się już

Dokończenie na str. 13

# Zbliżenia niesentymentalne

Maciej Podgórski

**I**NŻYNIER Bolesław Gadomski nie posiada samochodu, mógł dostać w tym roku małego fiata, ale nie wziął, choć zaopatrzenie w Rzepedzi słabe i wiele produktów trzeba dowozić z Sanoka. Kadra tutaj ma inne hobby niż rozbijanie się samochodami. Pszczoły hodują, grządek doglądają koło domów.

Osada przemysłowa Rzepedź rośnie tuż przy kombinacie drzewnym, w okolicy lesistej, słabo zaludnionej, dosyć daleko od miast, w dolinie górskich rzek Oslawicy i Oslawy, na pograniczu Przedgórze Bieszczadzkiego oraz Beskidu Niskiego.

Kombinat, uruchomiony w grudniu 62 roku, i osadę zbudowano niemal równocześnie — w tak zwanym dziewiczym terenie. Inżynier Gadomski, który jest szefem produkcji, oglądał to na własne oczy, ponieważ pracuje w zakładzie i mieszka w Rzepedzi zasadniczo od początku. Przedtem pracował w branży drzewnej i mieszkał w Przemysłu, gdzie się ożenił i nie miał mieszkania. A w Rzepedzi mieszkania dawano na piu. I to jakie!

Kiedy się w całym kraju budowało słynną „oszczędnościówkę”, tutaj przekazywano segmenty w których trzypokojowe lokale liczyły po 80 metrów kwadratowych w rozkładzie parter-piętro! Nie da

w Rzepedzi stał jedynie tartak, przetrzynalnia i suszarnia — to zobaczyłby, ile tutaj dokonano w ciągu czterech lat. Poszła mozaika, parkiet; kostka posadzkowa do hal produkcyjnych Zerania, Bielska i Tych; palety ładunkowe, skrzynie spinane do owoców i warzyw; klamerki do bielizny nawet. A trzeba wiedzieć, że w żadnym innym opakowaniu owoc nie czuje się tak pierwszorzędnym jak w drzewie. Klamerka natomiast plastikowa do bielizny pęknie zawsze, drewniana — nigdy!

Zakład się rozwija, muszą przyznać obiektywnie. Tylko w tartaku pily pękają jak dawniej, bo w surowcu dostarczanym z bieszczadzskich lasów pełno odłamków i pocisków. Jeszcze z czasów, kiedy tutaj trwały walki z kontrrewolucją i kiedy zginął generał Świerczewski, którego imię kombinat nosi.

Ponadto jest kilka spraw. Kombinat został zlokalizowany prawidłowo, w pobliżu centrum surowcowego. Wąskotorową kolejkę leśną z Cisnej do Łupkowa przedłużono na Smolnik i Rzepedź. Tym sposobem drzewo spływa z głębi Bieszczadów i kłopotów z transportem surowca nie ma, są natomiast — z szerokotorowym transportem wyrobów w świat, bo z wagonami kruczo.

Druga rzecz, iż wstępne obliczenia zasobów su-

innymi: golonkę baranią, stek barani oraz baranię duszoną. Zamawiam golonkę i widząc, jak obok podtatusiali turyści siedzą i jedzą smutne bigosy, przypominam sobie, co dwa dni temu powiedział mi dyrektor Spółdzielni Kółek Rolniczych w Czarnej, położonej akurat na przeciwnym krańcu Bieszczadów:

— W najbliższej przyszłości musimy nauczyć rodaków jeść baraninę.

— Przede wszystkim musimy ich nauczyć odpowiednio przyrządzać baraninę, bejcować i szpikować — pomyślałem w Komańczy, zniechęcając się nad wyschniętą, żylastą golonką pocziwego, bć może, skopka.

Zdzisław Osiowy pochodzi spod Warszawy, linia Obory — Wilanów. W Bieszczady trafił w ten sposób, że przyszedł z nakazem pracy i tu się ożenił z nauczycielką...

Dyrektorem SKR w Czarnej jest od roku, przedtem był wicedyrektorem POM w Ustrzykach Dolnych. Spółdzielnia w Czarnej istnieje blisko trzy lata. Na początku mieli sześć ciągników, a teraz czterdzieści, zespołowe gospodarstwo rolne liczyło kilkanaście hektarów, ale jak im zaczęto przekazywać hektary z funduszu ziemi, tak w końcu doszło do ponad 1700. W 324 działkach, tylko może by o tym nie pisać, bo posiadają i działki trzystu hektarowe.

Głównie otrzymują z funduszu hale wypasowe uprzednio użytkowane przez indywidualnych baczów od Nowego Targu i Zakopanego, rabunkowo użytkowane, trzeba stwierdzić. Bo to się tylko tak mówi: użytki rolne. W tych 1700 hektarach jest 170 lasu, na dwudziestu sieją owies, trzydzieści idzie pod kukurydzę na kiszonki, dziewięćset niby pod bazy wypasowe; ale niemal sześćset potrzebuje odkrzaczenia, co już rozpoczęli ciągnikami gąsienicowymi, wypożyczonymi, bo własnych nie mają.

Z tym odkrzaczaniem. Gdzie duże spadki w ogóle nie podejście. Tak, olcha szara się puści raz dwa i normalny drzewostan rośnie na onegdajszej ziemi uprawnej. Więc wpięć rekultywacja, a potem dopiero mowa o użytkach zielonych. Ponadto jest sprawa nawożenia istniejących hal wypasowych, właściwie należałoby helikopterami, już to dogrywają z WSK Świdnik. Teoretycznie zasoby paszowe SKR niby są wielkie, a praktycznie małe; jeszcze w przyszłym roku trzeba będzie kupować pasze.

Gospodarka się rozwija niewątpliwie. Zaczynali od 160 sztuk owiec, teraz mają 1700, w roku 80 będą mieli 10 tysięcy, czyli 14,3 procenta całego pogłowia zakładanego docelowo przez program rozwoju rolnictwa i gospodarki żywnościowej w województwie krośnieńskim na lata 1976—1980.

Dyrektor Osiowy rozpisuje przede mną swoje gospodarstwo w cyfrach. Plener turystycznie może być piękny a produkcyjnie martwy. Przypominają mi się słowa pewnego dokumentu, który studiowałem w Krośnie: „Jak wiadomo, podstawą decyzji o powołaniu województwa krośnieńskiego była po trzeba lepszego wykorzystania rezerw rolnictwa w tym rejonie”. I idziemy obejrzeć plener turystycznie smutny, aczkolwiek produkcyjnie obiecujący — budowę hokejki, czyli zimowych zagród dla owiec — chwilowo tonące w błocie, bo deszcz od dwu dni nad Bieszczadami — obiekty przyszłej fermy owczarskiej, prowadzącej tucz skopków dla poprawy krajowego bilansu mięsa i wełny.

Ten rodzaj inwestycji znajduje uznanie u władz. Przypominają mi się słowa innego dokumentu: „Nie wolno dalej tolerować takiego modelu inwestowania na wsi, gdzie willa i garaż są często jedynym i ostatecznym celem. Angażuje to nadmierną ilość materiałów, rodzi kłopoty w wykonawstwie”.

Chodzą słuchy, że wraz z fermą w Czarnej pójdzie duża mieszkaniówka, 90 mieszkań rodzinnych. Na razie gruntownie wyremontowano stary budynek dla sześciu rodzin, a właściwie postawiono nowy na dawnych fundamentach. Stary budynek został opuszczony przez osadników, którzy nie strzykali ciężarów życia w tych stronach, choć Czarna ośrodkiem usługowo-gospodarczym dla okolicznych wiosek, siedzibą gminy i uzdrowiskiem.

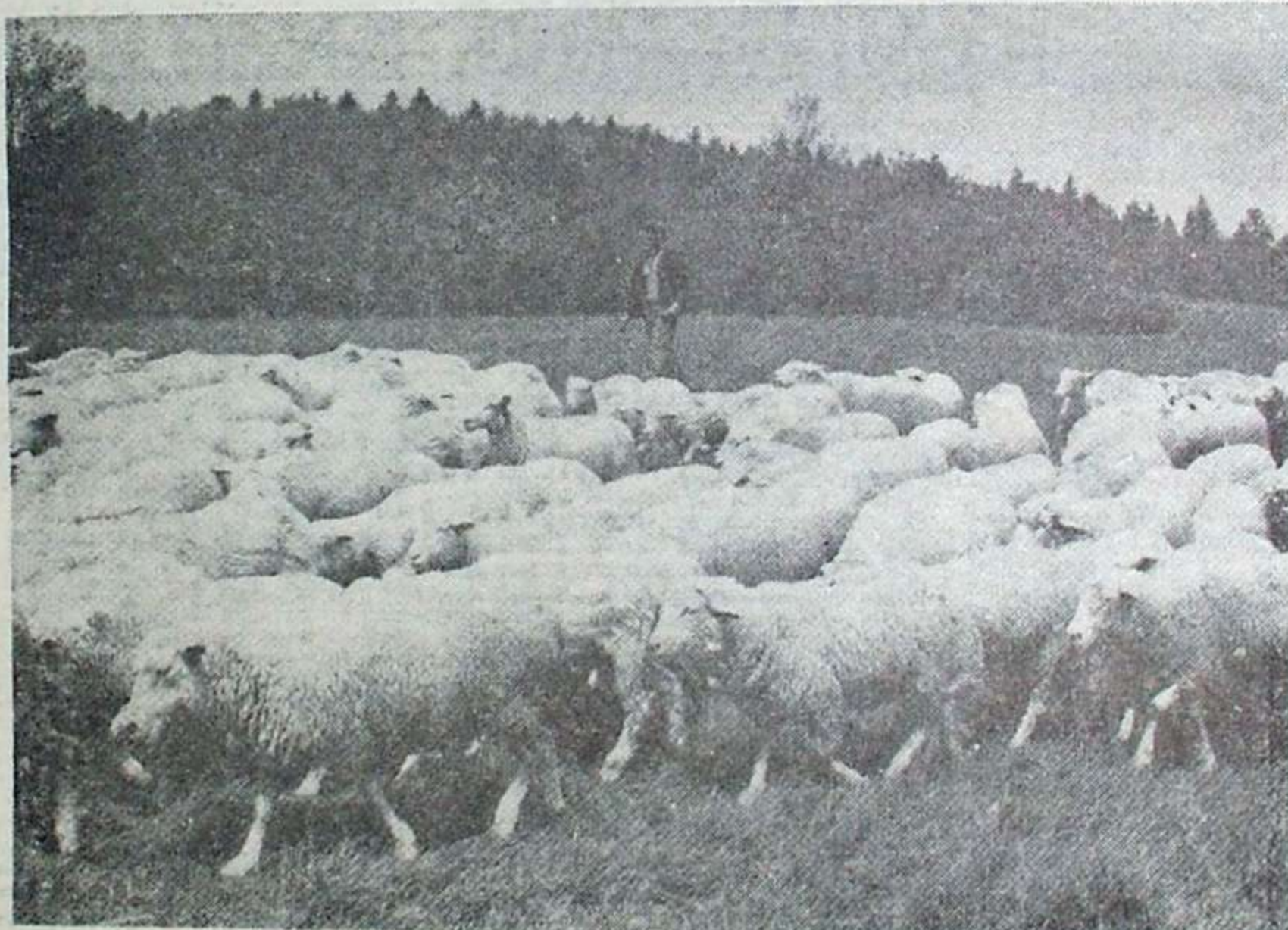
Stanisław Janusz jest soltysem wsi Zadwórze, parę kilometrów za Czarną i tyle samo przed Ustrzykami Dolnymi. Wioska leży na terenach przyłączonych po korekcie granicy wschodniej.

Rodzinną wieś pana Stanisława to Luteza, dosyć daleko stąd, koło Rzeszowa. Wpiew normalnie odszłużył wojsko, już po wojnie, w 73 pułku artylerii ha ubic. Potem się zaangażował do robót drogowych w Ustrzykach, ale ożenił się, chciał skończyć z koczowniczym i przybył do Zadwórze, gdzie był teren pod osadnictwo. Bardzo ciężko szło od początku.

Dostał osiem hektarów, kupił starą chałupę drewnianą, którą rozebrał i postawił w dole. Jak wszyscy tutaj w 58 roku, zabrał się do ręcznego karczowania olchy szarej na polach, do wyrównania gęstej pokrzywy przy drodze, gdzie teraz rząd murowanych domów stoi, a wśród nich obejście pana Stanisława.

Brał pożyczki od państwa i inwestował. Do nowego domu wyprowadzili się z drewniaka w roku 63. W trzy lata później stanęła nowa obora i stodoła, wtedy też właściciel dokupił osiem hektarów po sąsiedzie, który nie wytrzymał, gdyż buchaltem był, nie rolnikiem, i myślał że ziemia to lekki kawałek chleba, a osadnictwo to nieograniczone kredyty i ulgi.

„Ale bo też ci, co zostali jak robia, jeden w drugiego każdy coś chce mieć. Tylko że my tu powstałi właściwie dopiero jak Gierek nastal”.



Wypas owiec

Fot. Jerzy Bryła

się ukryć, że chodziło o ściąganie kadry za wszelką cenę. W ten sposób powstało osiedle „A”. Równocześnie hotel robotniczy Rok potem — dla lepszego ustabilizowania załogi — osiedle „B”, złożone ze zwykłych dwupiętrowych i czteropiętrowych bloków z mieszkaniami o nie tak już wygórowanym metrażu a raczej przeciętnym.

Teraz w osiedlach rzepedzkich mieszka około tysiąca osób. Dla dopełnienia miary cywilizacyjnych użytków muszę napisać, że mają szkołę podstawową, sklepy, kino związkowe, przedszkole, ośrodek zdrowia, pocztę i aptekę. A w 65 roku z inicjatywy kombinatu zbudowano w okolicy pierwszą w ówczesnym województwie rzeszowskim stację przekątnikową TV. Wszystko zatem jest w Rzepedzi! Szczególnie dla obywateli spokojnych, rodzinie ustabilizowanych.

W hali płyt wiórowych kombinatu czuje zapach pieczonego chleba. Ciasto jednak nie z mąki, lecz z wiórów sklejonych, wędrujących pulchym kołbiercem do prasy gdzie w temperaturze 170 stopni i pod ciśnieniem 20 atmosfer odbywa się „wypiek”.

— Tę produkcję uruchomiono stosunkowo niedawno. Gdyby się redaktor cofnął myślą wstecz, jak

rowca były zbyt optymistyczne. W lesie są drzewostany rębne, do których nie ma dostępu. Trzeba by zbudować 350 kilometrów dróg, ale to jest kwestia piętnastu lat. W tym czasie drzewostany się zestarzeją i zrobią się przeszlorębne. (W Wydziale Rolnictwa, Leśnictwa i Skupu Urzędu Wojewódzkiego w Krośnie uzyskałem przedtem informację, że w Bieszczadach istnieje około 30 tysięcy hektarów niedostępnych lasów i tyle samo trudno dostępnych dla przerobowej gospodarki leśnej, bo tylko taką się tutaj prowadzi).

W nie tak znowu odległej Ustianowej powstaje nowy kombinat drzewny i w Rzepedzi martwią się, że z surowcem będzie niebawem kruczo, więc dumają nad częściąową zmianą branży zakładu. W zeszłym roku rzepedzcy drzewiarze przeprosili się z tworzywami sztucznymi i zaczęli oklejać płyty wiórowe unilamem oraz klejenie płyt PCV.

Na razie jest to zakład nieszkodliwy dla środowiska, ale gdy przyjdzie chemia tworzyw sztucznych? Wtedy raczej żegnajcie pszczołki!

Z Rzepedzi już jedynie kilka kilometrów do Komańczy, gdzie w restauracji „Pod kominkiem” uważnie kontemplują jadłospis, oferujący między





# Cztery klasy bez matury

Marian Aleksandrowicz  
Istvan Grabowski

**G**DYBY dajmy na to, Allan Freeman przyjechał do Polski przez okres kilku lat poobserwował nasze życie piosenkarskie, zwróciłby zapewne uwagę na jedną cechę różniącą polską piosenkę od tego, co robi się na Zachodzie: starzenie się gwiazd. Gdy polski wykonawca trochę pośpiewa (młodzieżowo) część prasy żąda od niego spowaznienia. Owo spowaznienie oznacza w praktyce rezygnację z własnego stylu, adopcję szarżyzny i stanie się wykonawcą nijakim, ale za to zaliczającym wszystkie imprezy od Opola aż do festiwalu piosenki przeciwpozarowej, wszak co, jak co, ale pomysłowość w tworzeniu festiwalu mamy jak nikt na świecie. W konsekwencji podczas gdy na Zachodzie każdy z większych wykonawców jak: Elvis Presley, Tom Jones, czy Cliff Richard śpiewają dla swojej publiczności, nasz piosenkarz ma ambicję podbić serca wszystkich. To „śpiewanie dla mas” jest największym grzechem polskiej piosenki, jako że 90 proc. jej wykonawców śpiewa w jednym stylu, a właściwie bez stylu. Nie ma zatem u nas ani jednego solidnego wykonawcy rock and rolla, bluesa czy bossa novy, za to około trzystu osób śpiewa piosenki dla wszystkich, czyli de facto dla nikogo. Tym, naszym zdaniem, należy tłumaczyć kasowe klęski większości płyt. Polska piosenka jest zbyt monotonna, zbyt mało indywidualizowana. Większość artystów z płyty na płytę miast być lepsza — marnieje. Przykładem może tu być Jerzy Połomski. Jedyną słuszną dewizą dla krajowych artystów byłby nakaz stałego marszu do przodu, jak to robi Niemen i Grechuta. Oczywiście każdy piosenkarz i zespół musi podlegać Polskiemu Stowarzyszeniu Jazzowemu, lub którejś z estrad wojewódzkich. O ile PSJ wykazuje jeszcze jakąś taką dbałość o poziom tego, co podlegli mu ludzie robią, o tyle estrady wojewódzkie interesują się jedynie maksymalną liczbą koncertów i srubowaniem tzw. przerobu. Ten tajemniczy termin oznacza w zasadzie objętość płaconej danej firmie. Szmal — oto jest niezbędny. W imię szmalu, który jest następstwem wygrania festiwalu lub zrobienia dużej ilości tras koncertowych, Estrada jest w stanie dokonać czynów niemal heroicznych.

Tylko niewielka część „przerobu” trafia do kieszeni wykonawców. Resztę wpisuje sobie firma po stronie aktywów. Mity o bajkońskich zarobkach naszych piosenkarzy są bzdurą — Estrady zapewniają wykonawcom jedynie trasy koncertowe. O repertuar, instrumenty, aparaturę nagłaśniającą, stroje i kolejkę w Polskich Nagraniach muszą dbać sami. Równocześnie artyści nie mogą proponować słuchaczom piosenek nieznanymi twórców. Wszak nie od dziś wiadomo, że nieznanego nazwiska nikt nie kupi, dzięki czemu łatwiej sprzedać dobrą kompozycję za granicą niż w kraju.

Z kompozytorami jest u nas, rzecz można, jeszcze jako tako. Najgorzej rzecz się ma z tekstami. „Tekściarz”, o ile nie jest znanym i uznanym poetą, nie jest ceniony, choćby owoce jego pracy były czystą poezją. W dawnych dobrych czasach teksty piosenek pisali Tuwim i Gałczyński. Dział zajmuje się tym grupa pół-amatorów strzelających czasami

w swoich „dziełach” byki gramatyczne niegodne ucznia czwartej klasy szkoły podstawowej. Co dziwniejsze, są to ci sami ludzie, na których cześć jeszcze dziesięć lat temu wygłaszano pienia po-

czesne zamieniła się w „pie, pie” o niczym. Jeżeli do zamierzonego tekstu dodamy zamierzoną interpretację Maryli Rodowicz otrzymamy strasę nie do poznania. Oczywiście Agnieszka Osiecka próbując być szeroderką wielkich idei na przykład sprawy oświecenia publicznego:

Takiej dziewczynie, co sama pije w barze matury nie ma, szczęścia też...

słyszyny w piosenie „Księżyc we włosy” Skaldów. Maryla Rodowicz zaś śpiewa:

Mary, Lou miała buty o podłej skórze, Mary, Lou cztery klasy bez matury...

To jeszcze nie wszystko. Ta sama piosenkarka przyznaje się innym razem bez bicia:

nie mam głowy do poziomu, do dyplomu, zwórki ziamu...

a w kolejnej piosenie zaś się ze trudno, bo to „egzaminu i szkole i tremu...”

Zygmunt Freud wysunąłby zapewne na podstawie tych tekstów diagnozę: „Projekcje idei pozytywizmu — albo komplekx wykształcenia”. Z pewnością kompleks wykształcenia autora przejawia się w śpiewanych przez Jerzego Połomskiego słowach Al Capone: miasto wyrok dał. W tym wypadku cztery klasy bez matury, to zdecydowanie za wysoka nota. Autor tej „poezji”, świadom śmieszności, nawet nie podpisał się pod własnym dziełem. Takimi i podobnymi kwiatkami można by było obsadzić nie jeden hektar oalej łączki.



Stan Borys  
Fot. Lech Pempel

chwalne. Wszakże po dziesięciu latach grupa ta niemal zmonopolizowała rodzimą twórczość tekściarską i trudno się dziwić, że teksty piosenek są złe, skoro ich autorzy piszą ich po dziesięć i więcej tygodniowo, wiedząc doskonale, iż od każdej ich prezentacji w radiu (nawet we fragmentach) leci brzęcząca moneta naliczana z niezwykłą skrupulatnością przez ZAKS. Jeden z autorów, jak podaje prasa, wziął za swój tekst więcej, niż Jarosław Iwaszkiewicz za „Sławę i chwałę”. Komentarz zbyteczny.

Rekordy radosnej twórczości bije ostatnio Agnieszka Osiecka. Niedługo współpracowała z krakowskimi kabaretami studenckimi, tworząc pomnikowe już dziś szlagiery jak choćby „Okularnicy” czy „Eurydyki tańczące”. Była to na owe czasy nowość: ambitne literacko utwory, w których poruszało się jakiś istotny problem naszej współczesności. Po latach Osiecka dorobiła się nawet własnego programu telewizyjnego (Sentymenty).

Twórczości Agnieszki Osieckiej towarzyszy pełna bezkarność, ba nawet brawa. Nikt nie zauważył, że jej poetyka dawno przestała być tym, czym była na początku. Styl ustąpił bowiem miejsca manierze, a otwartość na sprawy współ-

Dobrze być dziennikarzem muzycznym. Wybrzydzając na nią jakoś polskiej estrady, deikwent fakti nie zdaje sobie czasem sprawy, jak wiele niemożliwych do pokonania przyczyn na to zło się składa: chaos organizacyjny, całkowity brak rozsądnych i życiowych przepisów prawnych normujących życie estradowe, stan permanentnej wojny między poszczególnymi instytucjami rozrywkowymi, zerowy poziom szkolnictwa muzycznego i prasy fachowej — oto przyczyny najważniejsze. Zeby bowiem być krytykiem muzycznym wystarczy mieć niezbędną wiedzę z tego zakresu, ostre pióro i wyczułone ucho. Aby zaś zostać kompozytorem czy piosenkarzem, trzeba odebrać gruntowne wykształcenie w tym kierunku. Co prawda przy katowickiej PWSM istnieje — jedyny zresztą w Polsce — Wydział Rozrywkowy, ale możemy to z অপóźji stwierdzić, że z tego wydziału z pewnością nie wyjdzie drugi Bacharach czy Annavour. Po prostu empiryczne sprawdzenie talentu jest w warunkach komisji egzaminacyjnych niemożliwe. Idealem byłoby chyba zorganizowanie prowadzonych przez fachowców studiów piosenki, dokształcających utalentowanych amatorów w za-

kreście dykcji, właściwej emisji głosu, solfeżu, taktu scenicznego i ogólniejszy program. Błędem to co prawda z autorami Ludwika Sempoliną, istniejąca też Studia Piosenki przy ZAKS, ale jest to prawdziwa kropka w morzu podżoga. Prawda jest i za granicą piosenkarską stanowi pomorąże wszystkich możliwych zawodów, ale tam przynajmniej między, dajmy na to, kielnią czy kierownicą, a deszczami porysanej Olimpi istnieje bardzo dobre sito selekcji i wymagane przez które przechodzą rzeczywiście najlepsi. O swoich perypetiach estradowych spowiadała przed kilkoma laty na łamach „Panorama” i „Jazzu” Francosze Hardy. Zanur została gwiazdą pracowała bardzo ciężko i długo. Szukała, że naszym piosenkarzom nie stawia się wymagań, jak dla przykładu Francuzom. Prawdą jest też i to iż wybitny pianista Errol Garner do końca swych dni nie znalazł, ale był to swoisty geniusz i wiedza mogłaby zniszczyć jego niepowtarzalny styl.

Prasa krajowa wypisuje stale peany na temat rzekomych sukcesów naszych wykonawców za granicą, a tak z reją na sercu, to żadnych sukcesów nie omiesiliśmy nawet w przypadku Niemena. Jak tu bowiem mówić o sukcesach, skoro chyba żaden z naszych artystów nie zna języków obcych, pomijając szkolne dukanie po rosyjsku. Wystarczy sobie tylko posłuchać niemieckich Czernych Gitar, Maryli Rodowicz czy Dwa Plus Jeden — to już nie klęska, lecz kompromitacja z zazdrością zatem możemy czytać o francuskich podbojach Emila Dymitrowa i Terezy Kesoviji, czy o nagrywanych w RFN płytach węgierskiej Omegi. Prawa konkurencji są okrutne, ale jednakowe dla wszystkich i trudno to zmienić. Liczą się bowiem, jak zaznaczyliśmy niejednokrotnie, tylko najlepsi.

Praktyki niektórych zachodnich menażerów, zwłaszcza w USA, wydają się w tej dziedzinie wprowadzać pewien zamęt. W dwóch ostatnich latach światowe listy przebojów zaczyna zalewać potok bezwartościowej szmiry zwanej muzyką dyskotekową. Gromiła to w wywiadach dla naszej prasy Roberta Flack. Wrażliwy słuchacz bez trudu stwierdzi, że w nagraniu spod znaku kung-fu i funky pod cienutkim płaszczkiem błyskotliwego aranżu kryje się denny wręcz poziom wykonawczy. Bonney M. i Silver Convention w normalnych warunkach nie powinni się pojawić na scenie. U nas zaś wielu z ciętym uwielbieniem patrzy na Zachód. Nie zatem dziwnego, że polscy wykonawcy nie naśladują Mahali Jackson, Roberta Flack czy, powiedzmy, Donny Hathaway'a raczej Tinę Charles i jej podobnych. Temu naśladownictwu zawdzięczamy utrzymywanie się na fali Anny Jantar, Ireny Jarockiej, czy Zdzisławy Sońcickiej. Dlatego też ma jeszcze odwagę nagrywać Karin Stank.

W kontekście powyższych rozważań optymistyczne teorie o krajowym przemyśle rozrywkowym przypominają gadanie ślepego o kolorach. Nie czarujmy się — nic takiego u nas nie istnieje. Co więcej: to się jeszcze nie narodziło. Przemysł cechuje zgranie wszystkich elementów niezbędnych do produkcji i szwank jednego z nich rozbija wszystko w puch. Dopóki chaos nie zastąpi rozsądnej organizacji i póki całość poczynać nie skupi się w jednych, mocnych i fachowych rękach, póty marzenia o polskim przemyśle rozrywkowym i eksporcie polskiej piosenki pozostaną bajeczkami dla grzesznych dzieci. Już od zarania swego istnienia Sopot przestał spełniać pokładane w nim nadzieje, jak zresztą pozostałe festiwale. Stał się bowiem miast próbą sił miejscem spektu trzeźworządnych szarpidurów. Fakt, że poza konkursem występują czasami jakieś gwiazdy jeszcze wyraźniej podkreśla nicość imprez konkursowych.

Pierwsze symptomy zmian na lepsze już się obserwuje, ale do pełnej poprawy jeszcze daleko. Zaczynają już nasz kraj odwiedzać naprawdę świetni wykonawcy, tegoroczny festiwal opolski był znacznie lepszy od poprzednich, ukazało się kilka niezłych płyt licencyjnych, ale to wciąż za mało. Trzeba jest cze zamknąć dostęp do sal koncertowych tym, którzy na to nie zasługują.

Sądymy, iż sprawa dojrzała już do tego, aby Ministerstwo Kultury i Sztuki wkroczyło w panujący bałagan ostro, zdecydowanie i skutecznie. Oby nie było to jedynie pobożnym życzeniem tysięcy słuchaczy spragnionych naprawdę godziwej rozrywki.



# Okno -lice sztuki -ki

## W klatce specjalistów

ZANOSI się na to, że dyskusja wokół architektury współczesnej pobije wszelkie rekordy długości, odnotowane przez kroniki polskie. Temat ten poruszany był stale, szczególnie zaś ostro przy różnych ważnych okazjach, profilowanych przez historię. Zaraz po wojnie zastanawialiśmy się w jakim też kształcie odbudować zniszczony kraj, choć po prawdzie bardziej wówczas chodziło o postawienie czegoś do mieszkania, o wzniesienie jakiegoś ludzkiego dachu nad głową. Ale już na przelomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych podszliśmy do sprawy na serio, z czego ostatecznie wyłonił się dekalog architektury oraz Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa, budowie Nowej Huty oraz lubelski RDM, nawiązujące detalicznie do klasycznej sztuki budowania. Na solidnych kamienicach wykwitły bardzo profilowane gzymsy, rozety i attyki renesansowe, a tu i ówdzie postawiono repliki rzymskiego łuku triumfalnego. Jeśli to kogoś zainteresuje przypomnę, że łuk taki miał być wzniesiony w Lublinie w miejscu, w którym Krakowskie Przedmieście przechodzi w aleje Raclawickie. Widziałem zdjęcia makiety obiektu: prezentowałyby się wcale okazałe, choć wielkością ustępowałyby na pewno temu, który stoi w Bukareszcie.

W tamtych latach koryfeusz polskiej architektury, zasłużeni przy redagowaniu Karty Atenskiej i realizacji na naszym gruncie koncepcji osiedla mieszkaniowego w latach trzydziestych, tylko z niesmakiem spojrzeli na panoramę, ornamenty i kamienne winogrona, ciężkawe zwisające z fasad budynków.

Po 1956 roku pojawiła się przecież chwila dogodna i zwolnienicy tzw. nowoczesności hurmem napadli na cały ten pejzaż, niszcząc po drodze kilku jego współtwórców, którym zarzucono absolutne niezrozumienie potrzeb człowieka współczesnego w dziedzinie

„dach nad głową”, anachroniczne upodobania estetyczne i sto innych niegodziwości. Przy okazji dostało się też niezłe zacnemu odnowicielowi Kazimierzowi Dolnemu inżynierowi Karolowi Sicińskiemu który postawił przy rynku Dom Architekta (D) w stylu jakby renesansowym.

Nikt jednak nie zapytał wówczas zwykłych mieszkańców tych domów o zdanie, nie zasięgnął języka w kwestii „jak wam się tam żyje czy jesteście zadowoleni z grubych ścian, niewielkich otworów okiennych, ornamentów i tak dalej”. Inna sprawa, że w latach pięćdziesiątych także tych spraw nie konsultowano z użytkownikami, aczkolwiek można przypuszczać pewną zgodność poglądów między architektami, a ludźmi, którzy weszli do śródmieścia prosto ze wsi lub małych miast, gdzie smak powszechny kształtował do niedawna pałac czy dwór ziemski, w najgorszym razie z XIX wieku.

No i od końca lat pięćdziesiątych architektura stała się wyłączną sprawą specjalistów, którzy na naszych oczach uporządkowali sielski pejzaż polski na sposób geometryczny, jednakowy i bardzo oszczędny, choć trzeba przyznać że zdarzały się od tego wzorca chwalebne odstępstwa. Trzeba ponadto dodać że działo się tak (i dzieje) w wielu krajach świata aczkolwiek pod względem szczupłości metrażu pobiliśmy wszystkich na głowę, zyskując tą drogą pewną oryginalność. Na szczęście w wielu naszych miastach stoją budynki w stylu MDM — inne, bardziej zindywidualizowane niż dzisiejsze bloki i nareszcie rehabilitowane. Tylko Wajda zapomniał (?) skorygować stary scenariusz „Człowieka z marmuru” i włożył w usta pani Jandy słowa ironicznego potępienia tamtej architektury.

Naszą przestrzeń urbanistyczną kształtują specjaliści. Kilka interesujących zdań na ten temat sformułował niedawno na łamach „Kultury” (nr 29) Waldemar Lysiak „Dzisiejsi architekci traktują swoją działalność jako cel sam w sobie, tworząc z niej wieżę z kości słoniowej, w której się zamykają, zamiast stać frontem do społeczeństwa. Środowisko mieszkaniowe komponowane nie z myślą o człowieku, lecz o technologii lub własnych ambicjach, przestaje być humanistyczne i humanitarne”. I dalej: „dlaczego (architekci — przyp. aut.) zaprzestali dialogu ze społeczeństwem?”

Na to ostatnie pytanie można by znaleźć przynajmniej kilka rzeczowych odpowiedzi, oprócz tej, którą zaproponował Lysiak, wskazując na brak „języka — środka porozumienia” między architektami, biurokracją i środowiskiem społecznym. Ale to zbyt obszerna kwestia, aby ją tu rozważać. Cieszyłbym się przecież, gdyby na postawiony wyżej problem zwrócili także uwagę np. niektórzy działacze z kręgu foto-artu, podkreślający z satysfakcją i na każdym kroku, że nareszcie sztuka jest dla artystów że nareszcie nie potrzebuje spełniać oczekiwań ludzi spoza branży.

LJK

Andrzej Rachtan

## ZABIEG

Pomimo bardzo przypadkowych urodzin i obiecawanego zaduszenia poduszką — mam własne życie. Władam nim.

Nie uciekam przed cieniem na murze, nie przepraszam — że jestem.

Czasem śpiewam tajemniczą pieśń przed zegarem który zatrzymuje swoje miecze i słucha uważnie.

Codziennie wychodzę z domu na kilka godzin.

Wchodzę do siebie, trzaskam drzwiami rzeczywistości.

Codziennie przekonuję siebie o tym, że najgłębiej poznały mnie moje wiersze i wierzę w to coraz bardziej.

ale wystarczy drobny zabieg — telewizyjna operacja wyobraźni — bym przestał być poezją.

Wtedy jestem cyborgiem złączonym w mechaniczną sieć telewidzów.

Jan A. Rosiak

## DOMINIKA

Z cyklu „Pod skrzydłami Morfeusza”

Słowa dźwięczą mi muzyką  
Perli się jej oczu blask.  
To poznana Dominika  
Udzieliła z serca łask.

Głosik drga mi po pokoju  
Pierwszej nocy seans mar:  
Sarna tkwi przed wodopojem  
Rozchodzi się leśny gwar.

Błąka obraz się z Rostocza  
Gdzie wśród lessów płynię Wieprz.  
Dziewczę ścięło już warkocze  
A miast miodu będzie pieprz.

— Miła Pani Dominiko!  
Przeszedł marzeń sennych raj,  
Dobrze, iż marzenie znika,  
Znika pejzaż, potok, gaj.

Może kiedyś gęstą gładką  
Znowu zajdziemy w leśny jar  
I na skrzydłach Morfeusza  
Polecimy w letni skwar.

Serce bije, zegar cyka  
Lecą w plener słowa z kart  
Dominiko! Dominiko!  
Słę ci senny ułkon bard.

Zofia Luchowska

\* \* \*

JKM

za dużo wierszy na papierze  
za mało poezji  
w szarości życia  
— wyrzucicie do kosza  
pewnego młodo — starzejącego się  
poetę  
— znajdzie tam najlepsze  
„środki” wyrazu  
nawarstwione z wytrzępanych maszynopisów  
— niech dokopie się do dna  
metafory  
m o że  
przy kuflu piwa  
spotka się z Witkacym  
nie troszcząc się o gwiazdzisty  
diament

Waldemar Żelazny

## BOŻENA

Wczoraj napisałem

patykiem  
na piasku

two imię

Patrzyłem jak nieśmiało  
podbiega do niego fala  
i cofa się

boi się jak gdyby wiedziała  
że te kilka

niewyraźnych liter

to wszystko o co można  
się rozbić i zginąć

## GŁOS

gdy ostatni  
raz krzykniesz  
że chcesz się  
narodzić  
odpowiem  
że jeszcze  
nie było  
adama i ewy  
naszych czasów

## MOJA POWINNOŚĆ

wiersz do gardła  
włożę  
ręką  
kartka po kartce  
macie  
tak  
oddychać

KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI • KSIAŻKI

## Potrójne czytanie „Proroka”

MOŻNA tę książkę czytać wielokrotnie. Raz, siedząc tylko zajmującą chwilę prostą akcją opowiadającą o losach młodego chłopaka, uciekiniera ze wsi, któremu królewski gród zamierzył się być miejscem zamieszkania. W rezultacie dość bajkowo łąduje w willi właścicieli fabryczki guzików i szklarni. Powtórnie można tę powieść przeczytać dla jej urody językowej. Bo „Prorok” Tadeusza Nowaka to ballada napisana prozą poetycką zageszczoną tak bardzo, że działająca jak słowny narkotyk. Po trzecie wreszcie trzeba przekarikować tę książkę, by odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego opatrzona jest ona takim, a nie innym tytułem.

I tu pojawia się pewna trudność. Bo jakim prorokiem jest Jędrus; prawdziwym czy fałszywym? Niesie zapowiedź wielkich zmian czy jest też spełnieniem daw-

nych, wymarzonych oczekiwań? Odpowiedzi należy szukać w charakterze Jędrusa, w jego postępowaniu. Tu spotyka nas rozczarowanie. Nasz prorok pragnie pozbyć się odcisków na rękach, a skrapianie się wodą koloniską uważa za uniwersalny środek przeciw wszelkim niepowodzeniom. Czyżby Tadeusz Nowak w trzeciej części swego tryptyku („Diabły”, „Dwunastu”, „Prorok”) zakpił sobie sentnie i szczerze z wiejskością, sielskością i swojskością, które koniecznie chcą wieść pierwsze skrzypce w mieście? Kpina autora sięga miejscami dalej, dotyka kresowych dworców, ulanów, polskich wesel, na które umiał pa- trzeć tylko Wyspiański.

Kiedy Jędrus spotyka po roku matkę, aby się z nią jak najrychlej rozstać, wcale nie jest go nam żal, chociaż prorok wyznaje, że coś w nim pało skomli, żabio rehotu. Uciekł ze wsi, stehórzył, bał się spracowanych rąk. Okazał się fałszywym prorokiem.

Emil Biela

Tadeusz Nowak: „Prorok”, „Czytelnik”, Warszawa 1977, str. 210, cena 26 zł.







# MINUTA MYŚLENIA

## Wysuszony Skamander

JESTEM amatorem legendy i anegdoty literackiej. Nie dla sensacji, podszewki, skandalizacji. Dla wywiedzenia się jak dane zjawisko wylądowało na konkretnym tle życia. Bibliografia i monografia! I nie poza nimi jest do napisania. I to wcale nie o tym, że autor miał trochę krzywy nos, albo skłonność do dowcipów na temat tesciowej. Anegdota ma specjalny przywilej skrócenia perspektywy wobec znanej postaci i w tym jej siła. Mam złudzenie, że z kimś wybitnym wypiliśmy braterski — czy nie gustować w anegdotce? Nawet opracowania nobilitacyjne historyczne jesteśmy skłonni czytać pod kątem prywatnych perypetii występujących tam postaci, krzywiąc się na autora, jeśli nam ich za bardzo skąpi. No cóż. Wciąż natura ludzka chce wiedzieć w jakiej kolonie Balzae jechał do Berdyczowa na ślub z panią Hańską. I czy przypadkiem nie odpadło jakieś koło.

Skamander. Grupa Skamandra. Toa właśnie jeden z najistotniejszych w polskiej literaturze powodów do zagładnięcia jej w podszewkę. Może Franz Fischer? Ale to nieprawda, że była to postać na tyle zajmująca, jakby wskazywał na to zachwyt potomnych wywołany kilkoma nie najwyższego lotu dowcipami. Boy. Skandalizował opinię publiczną rewolucyjnością poglądów, ale ze względu na słabą dykcję i monotony glos całkiem nie atrakcyjny w bezpośrednim spotkaniu z publicznością. Awangarda? Wszystko, co w niej ciekawe, wyczerpało się w tekstach, co najwyżej w inwektywach Przybosa pod adresem Kasprowicza. I nie tylko Kasprowicza. Natomiast Skamander? Talent, dowcip, inicjatywa, prężność organizacyjna. Szczęśliwy przypadek spotkania się tego w jednej epoce i w jednym mieście. Poza tym jakaś szczególna okoliczność tzw. fartu, który Skamandrytom dopisywał od początku, od studenckiej przygody „Pod pikadorem”, która mimo rozhuśtanego początku miała szansę tyle razy na niczym się skończyć. Nie skończyła się! Nie skończyła. To może trochę zasługi i generalowi Wieniawie — Długoszewskiemu (Długoszewskiemu? ustalmy wreszcie tę pisownię), który w odpowiedzi na swój komplement pod adresem Skamandrytów, że są kawalerią „Qui pro quo” usłyszał, że jest qui pro quo polskiej kawalerii.

Kiedy więc dotarło do mnie, że na półce księgarskiej leży „W kręgu Skamandra” Janusza Stradeckiego, dosiadłem swego czytelniczego pegasa. Tyle nowego się dowiedzieć! Skodyfikować posiadane wiadomości na temat tej grupy. Zweryfikować — jeśli przesadna — legendę i anegdotę. Wcale nie chodziło mi o kawał Tuwima i Słonimskiego ze sprzedażą

szkiełek zrobiony poliej. Wcale nie o szczegóły zatargu Słonimskiego z Iphorskim. Ale w tej książce miałbym nareszcie wszystko od kuchni „Ziemsiankie” (a nie mogła być taka sobie), wszystko od kuchni poetyckiej tych lat. Miałbym. Tryb warunkowy. Nie mam. Tryb orzekający.

A nie mam z winy autora, który tytułem do prostu naigł o treści książki. Przygotowałem się na Tuwima, Wierzyńskiego, „Czyhanie na Boga”, szopki polityczne, Lechonia, Słonimskiego, „Cyrułka warszawskiego”. Tymczasem w książce o tak witalnych poetach czytamy: „pisarz w grupie” (a w sensie ogólniejszym „pisarz w zbiorowości” jako członek literackiej formacji środowiskowej, społecznej i zawodowej), czyli zjawisko „grupy literackiej”, jest, jak się zdaje, problemem kluczowym, pozwala bowiem włączyć w sytuację komunikacyjną (nadawca-komunikat-odbiorca) przedmiot komunikatu”. Mam jeszcze impersonalne akcje, deskryptywne środki przekazu literackiego, tegoż środki audytywne, czyli oralne. Mam też rozdział „Projekt schematu działań życia literackiego i kultury literackiej w Polsce w latach 1918-1939” (co to znaczy?), w którym czytamy: „Konsumpcja literacka — czytelnictwo książek i czasopism zarówno od strony zasięgu ich oddziaływania, jak i preferencji, z zastosowaniem podziału społeczeństwa:

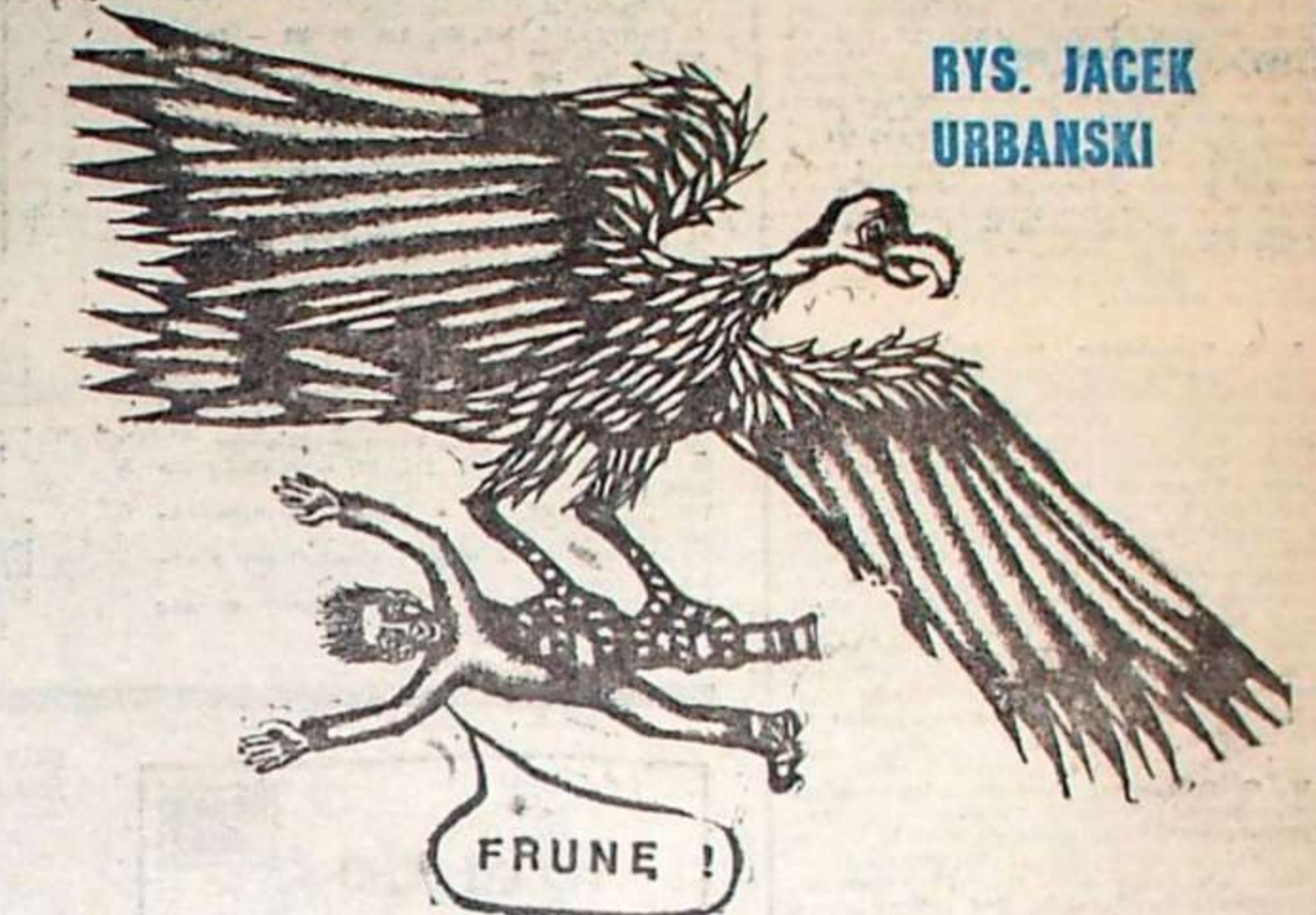
1. Pionowego — na warsztaty społeczne:
  - a) kulturalnie przodujące (elita);
  - b) ludowe pozafolklorystyczne (warstwa miejskiego plebsu);
  - c) ludowe folklorystyczne (środowisko wiejskie).
2. Horyzontalnego:...”

Dajmy już sobie spokój co tam znajduje się pod tym „horyzontalnym”. Przyzwyczajeni jesteśmy, że przekrojem przeciwnym pionowemu jest poziomy, ale „horyzontalny” rzeczywiście może być inteligentniej. Tak samo zwykliśmy sądzić, że warstwy układają się poziomo, ale pionowo może być oryginalniej. Trudno też w tym „schemacie” wyczytać, gdzie znajduje się mieszkający w mieście przeciętny odbiorca literatury, to znaczy ten nie zaliczany ani do „elity”, ani do „plebsu”. I co ma wspólnego folklor z odbiorem. Czy autor ma na myśli czytanie poezji równoczesne z tańczeniem kujawka i rzeźbieniem świątków?

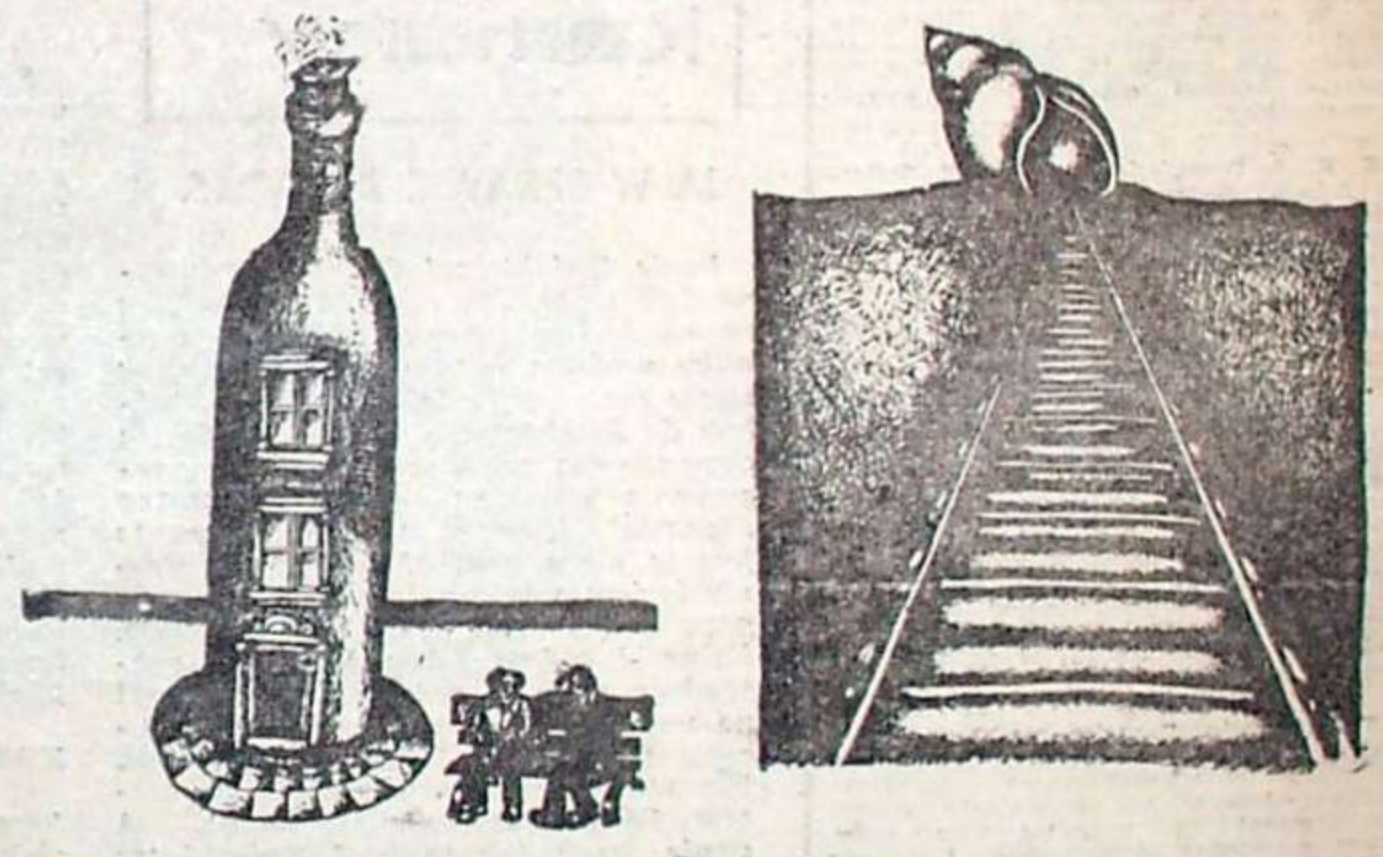
Zresztą wszystko jedno, co ma. Rzecz w tym, że połowę „W kręgu Skamandra” da się napisać bez Skamandra. Druga połowa zawiera dane albo znane, albo nieistotne.

Czy więc wszystko spisać na straty? Nie wszystko. Książka zawiera jeszcze ilustracje. Te są warte 90 zł.

Ijon



RYS. JACEK URBANSKI



STALO się... Zgodnie z zapowiedzią ostateczną to miejsce (od następnego numeru „Kamień”) p. Krystynie Wojcik z Wrocławia, która przedstawi (ale jak!!!) pamiętnik Casanovy. Z pewnym zalem rozstaje się z tą rubryką (nie ma co ukrywać), ale, prawdę mówiąc brak mi już konceptu. Jak się zapewne większość czytelników zorientowała, horoskopy były w zasadzie tworzone na „nie”: przepowiadałam różne nieszczęścia, kataklizmy, głównie związane z miejscem pracy zainteresowanych — z szefami, współpracownikami, podwładnymi etc. Oczywiście nie wróżyla, że i z zapadnie na dżumę czy z wyką grype, jako że z chorób nie było w moim. Rzecz zrozumiała, że w niektórych wypadkach trażałam, jak to się mówi, w ciemności. Nasze życie nie jest tak bardzo zróżnicowane, i z tym starałam się nie stawiać kropek nad „i”. Gdy na przykład pisałam: „Jeden błąd przysięgnął za sobą całą lawinę przemyślnych decyzji”, czy też „tylko na pozór wygląda, że pociąg błąd” albo: „sprawa nie wygląda tak beznadziejnie” — można to było rozmaile interpretować i we wszelaki sposób przypisywać do aktualnej sytuacji.

Inaczej mówiąc, bujałam Was, (co w innych pismach bujała Was nadal), Droży Czytelnicy,

# HOROSKOPY POŻEGNANIE

ych, którzy się nabrali, serdecznie teraz przepraszam.

I zdradzę jeszcze jedną tajemnicę: wiele horoskopów dotyczyło konkretnych osób, znanych mi z imienia i nazwiska; do nich to moje horoskopy pasowały już jak ulał. Wie o tym dobrze pewien pan spod znaku Raka i pewna pani spod znaku Koziorożca. Szczególnie zaś wie o tym sympatyczny skądinąd Lew, którego jednak wielką wadą jest nadużywanie wody ognistej. Głównie do niego odnosiły się moje prognozy, nie jednak dziwnego, że inne, porządne, Lwy mocno się denerwowały. W tym miejscu muszę przytoczyć w całości list, jaki ostatnio otrzymałam:

„Wielce Szanowna Pani Stella! (od horoskopów). Nie powinniśmy zaczynać tego listu od tych słów w związku z niekończącymi się obelgami Pani w rubryce horoskopów dla znaku Lwa. Widzenie Lwa upitego w rymstoku wydaje się dla Pani być ulubioną przyjemnością, bo i nawet porady wyjechać z tego upadku są tak mgliste i bezwonne, iż nie

przynoszą Lwu w Pani horoskopach żadnych barw tęczy płynących z optymizmu.

Widziana przez Panią osobowość człowieka z tego znaku jest już przed pisaniem horoskopu zdeklasowana moralnie i ideowo, a intelekt zupełnie niezauważony zmniejszył głowę Lwa do wymiaru mrówki, podczas gdy jest ona zauważalnie większa np. od głowy Koziorożca, poza rogami. Musimy Panią wyprowadzić z błędu.

Lew ma w sobie bardzo wiele godności, której może nawet przesadnie strzeże, jest raczej lubiany, uprzejmy, bardzo delikatny (w obejściu i pieczęciach), a egoizm i interesowność pozostają u niego w najdalszych kręgach widzenia. Cieszy się szacunkiem i dobrym humorem wypływającym stąd, że nie pozostawia nigdy ciemnych plam. A jeśli czegoś nie robi (co mogą mu zarzucić pozostałe istoty zodiaku), to tylko dlatego, że ratując słońca nie zgniecie mrówki.

Szkoda, że Łaskawa Pani bardziej wnikliwie nie podejmuje do

dziedziny horoskopów, stara się je układać ze swego punktu widzenia, oczywiście takie nie mogą być miarodajne dla szerszego pojęcia każdego zjawiska... Szanowna Pani Stella, czy nie jest Pani tym księżycem, którego tylko jedną stronę widzimy, podczas gdy ta druga — może dlatego, że stale zwrócona w stronę gwiazd — jest o wiele bardziej interesująca?

Lwiątko, referując Lwu-Szefowi niekiedy brzmienie horoskopu — obaj zatrudnieni w pewnej Szanownej Instytucji naszego miasta. Pseudonim za pseudonim, jak prawda za prawdę, a serce za serce”.

Hmm... Cytując ów sympatyczny (w sumie) list myślę, że udzielił panieką satysfakcji wszystkim osobom spod znaku Lwa (wśród nich i jednemu z redaktorów „Karuzeli” i pewnemu ciągle młodemu poecie z Lublina i milej maszyniście z zaprzyjanej redakcji).

W czasie nie tak znów długiego okresu stawiania horoskopów o-

trzymałam dwadzieścia dwa listy listowne (dla „Stella”), redakcja, jak mi wiadomo, dostała takich listów dziewięć. Autorzy tych ostatnich domagali się zwykle usunięcia moich tekstów z lamów poczytnej „Kamień”. Powoływali się często na tradycję pisma, choć mi się wydaje, że niekiedy brakowało im po prostu zwykłego poczucia humoru. No bo jeśli horoskopy traktowali poważnie...

Jak stwierdziłam na początku, przekazuję to miejsce w „Kamień” w dobre ręce. Zabawa będzie zapewne innego rodzaju, być może niektórzy pedagodzy poczują się urażeni tą goizną, która tu się zjawi, ale wszystko dla ludzi. Nie bądźmy zbyt pruderyjni!

I jeszcze jedno: kierownictwo redakcji prosilo mnie, abym z góry uprzedziła tych wszystkich, którzy będą zbierać „Pamiętnik Casanovy”, wycinać, oprawiać, wkładając do zeszytów etc., że nie będzie w stanie wysyłać załączonych numerów pisma. Należy więc baczyć, aby w porę zaopatrzyć się w aktualny numer „Kamień”. Dobre stosunki z kioskarkami (kioskarkami) „Ruchu” będą teraz szczególnie potrzebne.

Przyjemnej lektury! Ja zaś jadę urlopować. A z horoskopami kończę raz na zawsze. Cieszyć się!

Stella